ŁOWIEC POLSKI



52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (975) LUTY 1950 R. CENA 60 ZŁ

ŁOWIEC POLSKI
ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (975) 1950 LUTY

Inż. JULIAN BOHUSZ

BUDŻET KOŁA ŁOWIECKIEGO

I.

Wszelkiego rodzaju świadoma celu działalność gospodarcza, oparta na zasadach planowości, musi opierać się również o własny plan finansowy, tj. budżet, zawierający zestawienia przewidzianych wpływów na cele tej działalności oraz wydatków, czyli sposobów rozdysponowania przewidzianych budżetem dochodów.

W przeciwnym wypadku — w wypadku bezplanowej działalności gospodarczej w zakresie środków finansowych — będzie nam zawsze zagrażało niebezpieczeństwo braku pokrycia dla wydatków zaplanowanych, czasami bardzo istotnych i niezbędnych, niebezpieczeństwo lekkomyślnego zużycia naszych środków materialnych na cele o drugorzędnym znaczeniu w hierarchii potrzeb naszego gospodarstwa, wreszcie niecelowej kumulacji środków materialnych bez produktywnego ich zużytkowania.

Oczywiście pod określeniem „budżetu" mieścić się mogą pojęcia różne — i bardzo wielkie i bardzo w rozmiarach swych skromne.

Tak więc budżetem będzie zarówno plan finansowy wielkiego przedsiębiorstwa, zawarty w grubym tomie maszynopisu, jak i w pewnym sensie będzie nim kartka papieru, obejmująca plan miesięczny czy roczny wydatków domowych człowieka pracy, pracą tą utrzymującego siebie i swoją rodzinę.

Wydaje się dziś rzeczą bezsporną, że łowiectwo jest dziedziną działalności gospodarczej i tak winno być przez nas wszystkich traktowane. Zgodzić się należy z aksjomatem, że gospodarka łowiecka winna być prowadzona planowo i oparta na racjonalnych zasadach. Ku takiemu pojmowaniu istoty gospodarki łowieckiej prowadzi nas nowe ustawodawstwo łowieckie i polityka Polskiego Związku Łowieckiego.

Każdy więc gospodarz łowiska, jakim jest i będzie przede wszystkim kółko łowieckie, winien wiedzieć, do czego zdąża w swej działalności gospodarczej, co chce osiągnąć i jakie przewiduje środki, służące do realizacji jego zamierzeń. Musi więc — jednym słowem — posiadać plan działania i odpowiedni budżet, stanowiący gwarancję materialną realizacji tego planu.

Należy powiedzieć sobie otwarcie, że w dziedzinie planowości działania większość kółek łowieckich pozostawia dziś wiele do życzenia. Działalność tę można scharakteryzować określeniem „od wypadku do wypadku", jak również można postawić pod wielkim znakiem zapytania celowość użytkowania przez kółka łowieckie ich zasobów materialnych.

Nagminnym zjawiskiem jest np. wydzierżawianie przez kółka terenów łowieckich w obszarze niewspółmiernym do możliwości ich zagospodarowania, wskutek czego gospodarka wyradza się w eksploatację, nie daje żadnych wyników uzasadniających ekonomiczną rację bytu łowiectwa, natomiast daje w efekcie dewastację zwierzostanów nie tylko własnych, danego kółka, ale również w pewnym stopniu obwodów sąsiadujących.

Zjawiskiem normalnie spotykanym jest, że gospodarka kółka polega na inkasowaniu przez skarbnika od członków należnych składek oraz wydatkowaniu ich na potrzeby bieżące kolejno i bez wyboru tak, jak potrzeby te pojawiają się na horyzoncie. Jeśli w pewnym momencie funduszów zabraknie, to albo przestaje się realizować wydatki, albo też zwołuje nadzwyczajne walne zebranie i uchwala nadzwyczajne opodatkowanie członków.

Znam poważne kółko łowieckie, którego skarbnik, zainterpelowany w jakiejś dość zasadniczej sprawie budżetowej, miał poważny kłopot z odszukaniem tego budżetu, który figurował w postaci kilku wierszy, wypisanych w książce protokołów zebrań zarządu tego kółka.

Walne zebranie w swoim czasie w ogóle nie interesowało się sprawą budżetu, składając cały kłopot na barki zarządu przez udzielenie mu całkowitych pełnomocnictw.

Tak chyba być nie powinno.

Budżet kółka łowieckiego winien w dostatecznej mierze określać wytyczne dla całorocznej gospodarki finansami kółka. Nie popadając w drugą ostateczność zbytniego komplikowania sprawy, nadmiernego specyfikowania pozycji budżetowych i wstawiania pozycji zgoła nierealnych, należy przy układaniu budżetu dbać o następujące zasady:

1) aby budżet obejmował wszystkie podstawowe działy gospodarki kółka, przewidziane planem gospodarki w łowisku;
2) aby był realny, tj., aby zarówno przewidziane nim wpływy, jak i wydatki nie były fikcyjne i miały szanse zrealizowania;
3) aby układ budżetu odpowiadał podstawowym zasadom, wymaganym w tym względzie przez księgowość;
4) aby wreszcie był w tym stopniu ścisły, że zbyt daleko idąca dowolność w jego wykonaniu nie byłaby możliwa.

To, co powiedziałem wyżej pod punktem 3), stanowi raczej wymóg formalny. Tym niemniej jednakże, jeśli mamy budżet układać, lepiej jest wykonać to zadanie zgodnie z powszechnie obowiązującymi w tym względzie zasadami, niż wybierać formy dowolne, często niefortunne, wywołujące zbędne nieporozumienia i utrudniające pracę księgowania, jeśli takie będzie prowadzone przez jakieś większe kółko łowieckie w bardziej złożonej formie.

Było by rzeczą wysoce pożądaną, aby udało się wprowadzić pewną zunifikowaną formę schematu budżetowego dla użytku wszystkich kółek łowieckich. Wydaje się, że tego rodzaju wzorzec winien opracować Polski Związek Łowiecki, z zaleceniem powszechnego stosowania przez kółka łowieckie.

Taki wzorzec oprócz zalety, że byłby opracowany na prawidłowych zasadach księgowości i rachunkowości, przyniósłby jeszcze ten wielki pożytek dla życia łowieckiego, że umożliwiłby w dużym zakresie prace statystyczne, analizy ekonomiczne o charakterze porównawczym, studia w dziedzinie ekonomiki i opłacalności gospodarczej łowiectwa, czyniąc materiał budżetowy i rachunkowość masy kółek łowieckich wzajemnie porównalnymi i łatwymi do opracowania.

Dziś wzorów takich jeszcze nie posiadamy i stosowane przez różne kółka i gospodarstwa łowieckie formy ujęcia gospodarki budżetowej, jak i zasady samego budżetowania, są bardzo różnorodne, jeśli, jak już wspomniałem wyżej, są w ogóle stosowane.

Zadaniem niniejszego artykułu jest, obok ogólnego naświetlenia istoty i wagi budżetowania w gospodarstwie łowieckim, również zaproponowanie wzorca preliminarza budżetowego dla kółka łowieckiego, z uwzględnieniem podstawowych działów wpływów i wydatków, z jakimi kółko w gospodarce swej może się spotkać. Wzorzec ten chcę zaopatrzeć w najkrótsze uwagi i wyjaśnienia tekstu, odnoszące się do poszczególnych tytułów i pozycji budżetowych, jak również podać zasadnicze wskazówki, dotyczące merytorycznego i technicznego opracowania budżetu.

Nie chcę, oczywiście, twierdzić, że zaproponowany wzorzec będzie wzorcem najwłaściwszym, że będzie pozbawiony usterek i przeoczeń, które może dopiero wykryć i skorygować praktyka życiowa kółka. Jednakże wydaje się rzeczą użyteczną podanie takiego projektu, chociażby jako materiału orientacyjnego, dla całkowitego lub częściowego wykorzystania go przez kółka łowieckie, które gospodarki budżetowej nie prowadzą, lub też mają trudności z jej zaprowadzeniem.

Dla wielu kółek łowieckich zaproponowany tu wzorzec może okazać się w praktyce zbyt obszerny. W takim jednakże wypadku można go zastosować, nie wykorzystując w schemacie tytułów i pozycji dla gospodarki kółka nieaktualnych.

Zanim przejdę do szczegółowego omawiania wzorca budżetu, chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na generalną zasadę, jaką należy przyjąć przed przystąpieniem do opracowania budżetu kółka łowieckiego i konsekwentnie jej przestrzegać, aby budżet i jego wykonanie w istocie charakteryzowały wartość ekonomiczną i opłacalność gospodarki łowieckiej w danym łowisku.

W myśl tej zasady traktuję gospodarkę łowiecką w danym łowisku, jako imprezę gospodarczą w oderwaniu od subiektywnego zainteresowania użytkowników tego łowiska, tj. członków kółka łowieckiego, ujmując korzyści materialne, jakie oni odnoszą z użytkowania polowania, jako świadczenia łowiska, tj. gospodarki łowieckiej na rzecz użytkownika, zaś koszty, jakie członkowie ponoszą na rzecz gospodarki lub też z tytułu technicznego wykonania polowania, jako świadczenia użytkownika na rzecz gospodarki łowieckiej.

Świadczenia gospodarki łowieckiej na rzecz użytkownika wykazuję w preliminarzu budżetowym po stronie wpływów, jako wartość ubitej zwierzyny i po stronie wydatków, jako tę samą wartość zabraną przez myśliwych, w związku z wykonaniem polowania.

Świadczenia użytkownika, tj. członków polującego kółka na rzecz gospodarstwa łowieckiego, wykazuję po stronie wydatków budżetowych, jako koszty polowań i po stronie wpływów, jako zwrot tych kosztów, które w rzeczywistości ponoszą osoby polujące.

Zarówno wartość ubitej zwierzyny, jak koszty polowań, wykazane są w budżecie w równej wysokości po stronie wpływów i wydatków, więc nie wywierają wpływu na ostateczne zamknięcie i zrównoważenie budżetu. Takie rachunkowe ujęcie rzeczy odpowiada powszechnie dziś przyjętej w gospodarce kółek łowieckich zasadzie, że zwierzyna pozyskana w łowisku staje się indywidualną własnością myśliwego, który w zamian za to ponosi koszty jej bezpośredniego zdobycia, tj. koszty polowania.

Może ktoś zapytać, cóż nam wobec tego daje dwustronne zamieszczenie w preliminarzu budżetowym kwoty wartości ubitej zwierzyny i kosztów polowań?

Odpowiedzią na to pytanie będzie stwierdzenie, że takie ujęcie budżetowe pozwala na zorientowanie się w istotnej opłacalności gospodarki łowieckiej w danym terenie, w oderwaniu od osoby czy osób użytkowników polowania. Czysty efekt gospodarczy otrzymamy dopiero przy zestawieniu wszystkich form dochodów, jakie przynosi łowisko i wszystkich form kosztów związanych z pozyskaniem tych dochodów. Przy takim rozumieniu rzeczy gospodarstwo łowieckie winno zaliczać na swoje dobro całą wartość wyprodukowanej zwierzyny i ponosić całkowity koszt pozyskania tej zwierzyny, tj. wszelkie koszty polowań.

Takie zresztą ekonomiczne stawianie kwestii waloryzacji polowania w całokształcie gospodarki w łowisku, nie jest żadnym novum i spotyka się powszechnie w łowiskach gospodarowanych intensywnie, w których rozkłady zajęcze idą w tysiące sztuk, i w których jest przestrzegana zasada opłacalności gospodarczej.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby kółka łowieckie musiały koniecznie przechodzić na taki system gospodarowania ubitą zwierzyną. Więcej powiem. Przypuszczam, że duża ilość kółek, przy dzisiejszym poziomie swej gospodarki hodowlanej i liczebności zwierzostanów, popadłaby przy tym systemie w bardzo krótkim czasie w beznadziejny deficyt.

Bo polowanie jest opłacalne dopiero przy pewnym minimum liczebności rozkładu. O tym dobrze wie każdy myśliwy, który przywozi jednego lub parę szaraków, i który musi liczyć się z sumą kosztów, jakie wiążą się dla niego z przyjemnością polowania.

Gospodarka łowiecka może być opłacalna dopiero na poziomie intensywnej hodowli i przy wielkich rozkładach polowań. Gospodarka w łowisku, przynoszącym na jednodniowym polowaniu 30 czy 50 zajęcy, będzie zawsze deficytowa, jeśli ma być rzeczywiście gospodarką we właściwym tego słowa rozumieniu i jeśli zaliczymy budżetowo na jej ciężar pełne koszty urządzenia polowania.

Budżet gospodarstwa łowieckiego winien jednakże zawsze odzwierciadlać istotną opłacalność tego gospodarstwa bez względu na to, na jakim poziomie opłacalność ta się znajduje. W takich dopiero warunkach gospodarujące kółko łowieckie, w drodze analizy wykonania swego budżetu i porównania budżetów z kilku okresów, może zorientować się w istotnej opłacalności swoich poczynań gospodarczych, jak również, co wydaje mi się niesłychanie ważne, stwierdzić naocznie wyższą opłacalność gospodarki i hodowli intensywnej nad zwykłą eksploatacją łowiska, utrzymaną na poziomie minimum kosztów, minimum korzyści i fikcji hodowlanej.

Przyjmując w proponowanym przeze mnie wzorcu budżetowym zasadę wprowadzenia dwustronnie bilansujących się kwot wartości ubitej w łowisku zwierzyny i kosztów polowań, nie naruszam realności budżetu dla stosunków gospodarki, powszechnie dziś panujących, ale daję możność zorientowania się w istotnej opłacalności gospodarki w danym łowisku.

W tym celu należy tylko odjąć od strony wpływów budżetowych pozycje:

1) składek członkowskich;
2) innych świadczeń członków i dotacji;
3) zwrotu kosztów polowań, poniesionych przez myśliwych,

a od strony wydatków pozycję wartości zwierzyny zabranej przez myśliwych, aby otrzymać budżet samowystarczalnego gospodarstwa łowieckiego. Zbilansowanie tak skorygowanego budżetu kwotą niadwyżki lub niedoboru budżetowego, da nam obraz rzeczywistej opłacalności naszego gospodarstwa łowieckiego.

(Dokończenie w numerze 3)

J. Bohusz



rys. Wł. Korsak

Obowiązkiem każdego członka PZŁ jest dostarczać ubitą zwierzynę do Spółdzielni »Jedność Łowiecka«

ZBIGNIEW KOWALSKI

Odyniec wagi 320 kilogramów

Zabiłem go zupełnie przypadkowo, choć polowanie zapowiedziano na dziki i to wyłącznie na dziki z psami. Przypadkowym nazywam spotkanie z tym odyńcem dlatego, że czarnego zwierza nie było zbyt dużo na terenie dwóch, przetrząsanych w dniu 26 lutego 1949 r. dokładnie, zagajnik po zagajniku, leśnictw: Kuskowo i Szachowo.

Nie natknęliśmy się na zapowiedziane przez gajowych stadko czterech grubszych dzików, które trzymały się przez całą zimę tuż pod samą wsią w gąszczach, przytykających bezpośrednio do rzędu rei z kartoflami. Nie spotkaliśmy, znajomej nawet dokładnie chodzącym codzień do szkoły krótszą drogą przez las dzieciom, lochy z sześcioma warchlakami, ani też nie trafiliśmy na trzy przelatki, na które od miesiąca bezskutecznie polowano z miejscowej i sąsiedniej gminy.

Nie spotkalismy też jego... odyńca, olbrzyma, z lekka kulawego, który wciąż nieuchwytny, wędrował między trzema nadleśnictwami: Ciechanów, Dwukoły i Okalewo. Ostatnio pojedynek, tropiony zażarcie przez myśliwych i strzelany kilkakrotnie, zmienił swą stałą ostoję, leżącą w większych kompleksach leśnych i zameldował się w śródpolnych gęstych zagajnikach w leśnictwie Szachowo. W granicach tych trzech mazowieckich powiatów, gdzie dziki pokazały się zresztą w poważnej ilości dopiero po wojnie, chodziły o olbrzymim odyńcu, upadającym na lewą tylną rapetę, opowieści wręcz fantastyczne.

— Idzie przez las prosto jak czołg — opowiadał mi gajowy Osik z Mostowa, — a że go nazywają kuternogą, to wierutne bajki. Drzewka kładą się bokami, po borze trzeszczy, a on nic, dalej posuwa naprzód.

— A czarny jest, grzywiasty i kiedy fuknie na człowieka, to tylko leź na sosenkę — mówił inny leśnik Til spod Radzanowa.

— Kule, mówię panu, wcale się go nie imają. Wyszedł na mnie w Narzymie, wolniutko, truchcikiem i w rzadkiej drągowinie. Strzelam raz — nic, drugi raz — nic... No i co pan powie, obie kule siedziały w drzewach... Niesamowity dzik... Choć było tak blisko, że widziałem dokładnie małe, chytre oczko, jak mrugało w moją stronę...

— Mówię, kule się go nie imają — grzmiał trochę nazbyt głośno, w naszym kółku, Mohikanin prywatnej inicjatywy. Dla porządku należy dodać, że strzelał on nieco gorzej niż Mohikanin cooperowski.

A sam pan nadleśniczy, jeden z tych trzech odnośnych nadleśniczych (Dwukoły, Ciechanów i Okalewo), tak wyraził swą opinię:

— Znam go już od paru lat, silna bestia, waży powyżej trzech cetnarów.

— Tak, ja też określam go na dobre 18 pudów — przypieczętował rozmowę inny myśliwy, nawiasem mówiąc, senior naszego kółka, którego kule, pomimo wielkich przewag, odnoszonych według jego własnych słów i to latami w łowiectwie, nie chciały się jakoś imać tego niesamowitego odyńca.

•

Wiadomą jest dokładnie rzeczą, że wszystkie dziki spudłowane i ciągle jeszcze chodzące po lesie, są zawsze ogromne, największe, „jak komoda", „jak szafa" czy „mówię wam — po prostu okara". Wiadomo też, że jeżeli się zabije na danym terenie tego największego, jak na przykład zdarzyło mi się to w leśnictwie Ruchna ze strzelonym bardzo grubym odyńcem, noszącym miano „Chłopaka", to wtedy zawiść ludzka czy zakorzenione głęboko przekonanie u miejscowej straży leśnej, mówić będą przez długie lata, że ten największy, nieuchwytny „Chłopak" czy inny „jedyniec" — ciągle jeszcze chodzi i chodzić będzie po lesie.

I tak drogą spadku i tradycji, nie tylko waga i wielkość, ale również i nazwa potrafią przenosić latami z odyńca na odyńca splendor tego samego groźnego i tajemniczego słowa, jak „Chaśkiel", „Austryjak", „Tata", „Wujek", „Hauptman", „Chłopak" itp.

Kuternogi mławsko-ciechanowski pojedynek był jednak, jak mówił trop, rzeczywiście duży, co, jeżeli wziąć pod uwagę, że wymigiwał się szczęśliwie przez kilka lat od brenek, loftek, pepeszowych kul, siekańców i śrutu, nie stanowiło ostatecznie rzeczy dziwnej i rzadko spotykanej.

Chodził więc legendarny odyniec z mazowieckich sośniaków, kusztykając spokojnie, a raczej coraz bardziej niespokojnie pomiędzy Skrwilnem, Lekowem i Białutami, aż...

•

Tuż przede mną w zagajniku pies dał głos...

Choć szczeknięcie było krótkie, głuche i pojedyncze, tak byłem już zniechęcony bezowocnym przez pół dnia polowaniem, jak również stanowiskiem na skrzydle, którego zaplecze stanowiły piaszczyste, zrzadka znaczone pojedynczymi jałowcami i sosenkami typowe mławskie ugory, że ani przez chwilę nie wierzyłem w ukazanie się na haliźnie dzika. Ale po chwili, kiedy Azor szczeknął po raz drugi, a potem nad brzegiem gąszczu zaczął natarczywie ujadać i atakować, podniosłem broń do oka. I jednocześnie z pomiędzy rozwartych ciężkim ciałem, jak zielona furka sosenek, wyjechał na piaszczystą haliznę czarny, mieniący się w słońcu srebrzyście, nastroszony groźnie, gruby dzik. Też czarny, zdający się być maleńkim przy ogromie zwierza, piesek, gonił na oko, jazgocąc przeraźliwie.

Odległość od umykającego chyżo odyńca była niewielka — pięćdziesiąt — sześćdziesiąt kroków — a że do tego zwierz mijał mnie półkolem czystej polany, nie śpiesząc się i celując uważnie, nacisnąłem spust.

Dzik przykurczył się w sobie, rozprężył, a potem zdawało się, że ruszył jeszcze szybszym cwałem przed siebie. Lecz galop odyńca nie był bynajmniej wyciągniętym do ostatecznych granic tempem, bowiem mały, czarny piesek zaczął pojedynka coraz bardziej dochodzić. Robiło to wrażenie jakichś niesamowitych wyścigów olbrzyma i pigmeja, których metą mogła być tylko śmierć. Piesek był coraz bliżej i w chwili, kiedy zrównał się z dzikiem, zwierz nagle przysiadł i, nieodrywając zadu od ziemi, obrócił się gwałtownie w kierunku atakującego kundelka.

Naganka wysupływała się tymczasem z gęstych zagajów na drogę, gdzieś na środku linii padały strzały do innego dzika, który, jak zwykle, razem z obławnikami zdecydował się dopiero wyskoczyć z młodniaków i niczym czarna piłeczka, ścigany kulami, szedł czystym polem ku dalekim lasom.

Nie było więc już na co czekać, mogłem ruszyć w kierunku, ciągle jeszcze trwającego pojedynku psa z dzikiem. Ruszyłem biegiem. Zwabiona naszczekiem wyminęła mnie, szorująca również na głos gonu — Psotka.

Teraz dzik, oblegany przez dwa kundysy, kręcił się w kółko, tańcował w miejscu, broniąc się przed jednym, to znów drugim psem, doskakującym zażarcie; chwilami sam atakował rejterującą z podkulonym ogonem Psotkę czy Azora. Dzik wyglądał przy tym wspaniale, nastawiwszy do góry zjeżony chyb, groźnie błyszcząc oczkami i kłapiąc raz po raz białymi szablami.

Urzeczony niezapomnianym widokiem, przeciągałem spotkanie, choć czułem wyraźnie że partię tę należy jak najszybciej kończyć. Ranny dzik był bowiem rozwścieczony i opędzając się od psów, raz po raz oczył i zwracał się w moim kierunku.

Odczekałem chwili, kiedy psy odskoczyły, rozgromione potężnymi rzutami dziczego łba na boki, i strzeliłem do odyńca na kulawy sztych.

Dzik zareagował na strzał jak w złym śnie. Nie zwracając najmniejszej uwagi na huk i kulę, zawrócił i poszedł spokojnym truchtem ku niewielkiej kępie sosen i jałowców.

Psy błyskawicznie oprzytomniały, i rzuciły się w ślad. W gąszczyku zakotłowało się, a w chwili, kiedy dobiegałem do kępy, Azor zaskowyczał boleśnie i w ułamek sekundy później wyleciał wysokim łukiem ponad jałowce. Jednocześnie Psotka z podtulonym ogonem wyskoczyła z drugiej strony kęp na czyste, jakby chciała szukać schronienia u moich nóg. A w ślad za nią wysunął się z krzaków fukający groźnie odyniec.

Przez krótką chwilę rozglądał się, jakby ważył coś, aż wreszcie ruszył wprost na mnie.

Teraz wiedząc, że kula ulokowana może być tylko dobrze, strzeliłem pewnie. Dzik zapadł między dwa niewielkie jałowczyki, rwąc racicami wrzosy i mech.

Kiedy zbiegła się wokół naganka i kiedy wytaszczono dzika na drogę, wydał mi się nagle mniej groźny, mniej wspaniały, a nade wszystko mniej olbrzymi.

Toteż nic dziwnego, że gorący spór o tożsamość i wagę tego odyńca trwał do końca polowania między myśliwymi, leśnikami, a nawet i obławą, choć tożsamość stwierdzić było łatwo, gdyż dzik miał nieszkodliwie postrzeloną kulą i zresztą już zarosłą ranę w nodze. Trudniej było zgodzić się co do wagi.

— Pociągnie trzy cetnary, jak mówiłem — trwał niezmiennie przy swym zdaniu nadleśniczy.

— Nie przesadzajmy, ma coś niewiele ponad dwieście kilo, ale ani kila więcej — oponował miejscowy leśniczy.

— Ale skąd, ledwo podciąga pod dwieście — zaperzył się doktor Hilary, wieczny malkontent i opozycjonista.

— Doktorze! Doktorze! Pewne dwieście pięćdziesiąt — podsycał dyskusję pułkownik optymista.

— Trzysta, trzysta — wołał Mohikanin prywatnej inicjatywy.

Dyskusję rozciął wreszcie nasz senior, mówiąc ex catedra:

— Napatrzyłem się już w tysiące dzików i setki odyńców. Ten waży równo 20 pudów. Jak obszył. Ani funta mniej, ani funta więcej.

Powaga naszego seniora była tak wielka, że zamilkliśmy wszyscy... Choć ja osobiście miałem poważne wątpliwości, co do tego gromowładnego rozstrzygnięcia.

*

Wieczorem kazałem cichaczem przynieść wagę do leśniczówki. Jakby dla potwierdzeń słów naszego seniora, nie było odważników kilogramowych, tylko funtowe, odpowiedź mieliśmy więc od razu w pudach.

No i otrzymaliśmy — odyniec ważył przed wypatroszeniem coś tam niewiele ponad 9 pudów, czyli

145 KILOGRAMÓW,

a po wypatroszeniu

116 KILOGRAMÓW.

Ta ostatnia waga, mniej dwa kilogramy na rozkurz kupiecki, została zupełnie dokładnie potwierdzona po dostarczeniu odyńca do Spółdzielni Jedność Łowiecka w w Warszawie.

Mógłby mnie ktoś zapytać w tym miejscu, dlaczego tak nagle przeskoczyłem z niecodziennego już może dzisiaj wspomnienia szarży dzika — do wagi ubitej sztuki. A ktoś złośliwy mógłby dodać:

— No tak, rachować na dobre 250 kilo razy 200 złotych, a tu nagle...

Nie. Chodzi mi zupełnie o coś innego, a mianowicie o prawidłową wagę zwierzyny w ogóle, a wagę dzików w szczególności.

Dzików jest po ostatniej wojnie dużo. Dużo też myśliwych może zapisać w swym dzienniku łowieckim czarnego zwierza. Jednocześnie jednak w ciągu ostatnich dwóch lat utarło się mniemanie, że każdy zabity odyniec waży od 200 do 400 kg, byle wycinek ma dobrze ponad 100 kg, a stara locha od warchlaków — taka najchętniej strzelana locha — obowiązkowo musi ważyć 120 do 180 kilogramów.

Jeżeli zaś dzik przy sprzedaży, gdzie omyłki są prawie wykluczone, waży mniej niż sobie dany myśliwy i jego kompani wyobrażają, to wtedy, dla dopełnienia liczby kilogramów, dolicza się usunięte paprochy w wysokości: 30,%, 50%, a nawet 60% ogólnej wagi sztuki. Nic dziwnego, że przy takim podejściu waga zabijanych dzików rośnie do wysokości wręcz zawrotnych. A jeżeli zrobi się do tego fotografię, na której myśliwy stoi dwa metry za powalonym wycinkiem czy wiszącym na drzewie przelatkiem, to już nawet dokumentarne i bezsporne zdawało by się stwierdzenie faktu.

Tymczasem specjalnie robione przeze mnie osobiście i innych myśliwych ważenie dzików przed i po wypatroszeniu, naturalnie przy prawidłowym wypatroszeniu, to znaczy po usunięciu jelit łącznie z płucami, sercem i częścią tchawicy, przeciętą na połowie szyi, jak również po ściekniędu krwi — wykazuje wahanie w wysokości od 18% do 22% sztuki w całości i wypatroszonej. Zatem, jako średnią po obliczeniu prawie bez błędy jednej i drugiej wagi, można przyjąć cyfry 100 i 80. Tym samym, obliczając wagę niewypatroszonej sztuki, jaką będzie ona miała po wypatroszeniu, należy odjąć od wagi dzika w całości 20%; przy obliczaniu wagi sztuki już wypatroszonej, dla stwierdzenia ile ważyła ona przed oczyszczeniem, należy do wagi sztuki wypatroszonej doliczyć 25%.

Wiedząc już, jak obliczamy wagę dzika, chciałbym jeszcze powrócić do wagi ubitych odyńców, odsyłając Kolegów myśliwych do zapisków tych wszystkich, którzy wagi zabitych dzików skrzętnie notowali.

Henryk Badeni w książce pt. „Szczęśliwe dni“ podaje wagę 141 dzików (przed wypatroszeniem), ubitych w Koropcu w latach 1921—1929. Najgrubszy z nich, fantastyczny odyniec, co widać zresztą wyraźnie na fotografii w wymienionej książce, ważył 198 kg; waga innych grubszych dzików wahała się od 110 do 166 kg. Przy czym zarówno odyniec wagi 198 kg, jak i następny, co do wielkości, 166 kg, ubite były w początkach grudnia, a trzeci 160 kg — w październiku. Z pozostałych 140 dzików tylko cztery ważyły wyżej 150 kg.

S. Orski w książce pt. „A było to wczas rano...“ podaje wagę zabitego w grudniu 1916 r. patriarchy rodu dziczego, siwego od starości, o zjedzonych szablach i fajkach, który ważył wypatroszony 206 kg, czyli 258 kg.

Moje skromne zapiski o własnych dzikach i dzikach ubitych przez Kolegów w Nadniemeńskim i Otwockim Kółku Łowieckim, mówią, że waga odyńca wahała się od 108 do 196 kg, przy czym ten ostatni o najwyższej wadze, ubity był przeze mnie dnia 31 października 1937 r.

Zdjęcie dzika jasnego koloru w czarne plamy, wagi ok. 100 kg. Upolowany w listopadzie 1949 r. w Sieniawie k. Tarnowa. Zachodzi przypuszczenie, że jest to skrzyżowanie domowej świni z dzikiem.



Trzy ubite w nadleśnictwie Sławki w br. w październiku ważyły 183, 186 i 195 kg. Dwa dziki o najwspanialszych szablach i o najwyższej wadze, co zresztą nie idzie w parze z wielkością, ubite przez W. W. Garczyńskiego w nadleśnictwie Kotra (znany szeroko „Hauptmann") i Z. Wilskiego w styczniu — ważyły 155 i 150 kg.

Najwięcej ważący dzik, znany w Polsce przed wojną, którego wagę potwierdza przekaz kolejowy, a ubity przez S. Ocetkiewicza w Gościeradowie, jak podaje Łowiec Polski numer 11 z roku 1928, ważył wypatroszony 210 kg, co + 25% stanowi 265 kg. Zaznaczyć należy, że dzik ten ubity był w październiku.

Najwyższą, znaną mi wagą powojenną odyńca jest 215 kg (odyniec ubity przez Ministra Maurycego Jaroszyńskiego we wrześniu 1949 r. w nadleśnictwie Pupy, zresztą stary, bez szabel i fajek).

Przerzucając karty Łowca Polskiego w celu wyszukania maksymalnych wag dzików, znalazłem w numerze 3 z 1904 r. notatkę o ubiciu w Kozłowicach (województwo Kielce) olbrzymiego odyńca, wagi 240 kg. Jest to najwyższa waga odyńca, jaką znałem z wielu przeglądanych starych roczników.

W tym miejscu chcę specjalnie podkreślić, że waga dzika ubitego w początku jesieni, a w końcu lutego po huczce i często miesięcznym głodowaniu, może wykazać spadek, dochodzący do wysokości od 15% do 30%.

Zaznaczam tu jeszcze, że specjalnie wysoką wagę potrafią mieć dziki całkowicie, bądź częściowo wykastrowane przez przyrodę albo też przez rywala w czasie huczki ,(dzik o jednym jądrze, ubity przez płk. S. Łętowskiego w nadleśnictwie Płońsk, ważył 203 kg), bądź lochy jałowe lub też dziki łaciate, w których pokutuje sadlistość po przodku, swojskim knurku.

Poniżej podaję tabelę zbliżonych do prawdopodobieństw wag dzików, jaką zestawiłem z posiadanych i zebranych notatek według ich wieku i z uwzględnieniem pory roku:

	październik	luty
warchlak w pierwszym roku życia	20 — 35 kg	25 — 40 kg
przelatek w drugim roku życia .	55 — 70 „	50 — 70 „
wycinek w trzecim roku życia	90 — 115 „	75 — 100 „
locha w trzecim roku życia . .	75 — 100 „	70 — 90 „
odyniec w czwartym roku życia .	120 — 160 „	100 — 130 „
locha w czwartym roku życia .	100 — 120 „	95 — 110 „
odyniec kapitalny	150 — 220 „	125 — 175 „
bardzo stara locha	120 — 180 „	105 — 155 „

Zaznaczam przy tym, że waga odyńca ponad 220 kg w październiku, a 175 kg w lutym, jest zupełnym wyjątkiem, który może się zdarzyć nieczęsto w Puszczy Białowieskiej, niektórych kniejach lubelszczyzny, bądź na podgórzu rzeszowskim.

Naturalnie, wagi podane wyżej wahać się będą w zależności od tego, jak ciężka była zima, czy dziki były dokarmiane, jak również od szaty roślinnej i bogactwa naturalnego ostoi dziczej.

Również locha, szczególnie prośna, mniej traci na wadze w miesiącach zimowych niż zmarnowany huczką odyniec.

Pragnę jeszcze zaznaczyć, że nadużywana też jest przez myśliwych nazwa odyniec. Każdy dzik, któremu wyrżnęły się kiełki, określany jest tą nazwą. A zasługuje na nią dzik samiec, jak zaznaczyłem wyżej, dopiero w czwartym roku życia.

Byłoby rzeczą wskazaną, by Koledzy myśliwi zechcieli skrzętnie notować odpowiadające prawdzie i osobiście sprawdzone wagi ubitych przez siebie dzików i innej zwierzyny łownej. Jest to ważne ze względów naukowych, zarówno przyrodniczych, jak i łowieckich, dla statystyki Ministerstwa Leśnictwa i Polskiego Związku Łowieckiego oraz dla planu dostaw dla rynku wewnętrznego i eksportowego dziczyzny, a w tym najpopularniejszego grubego zwierza — dzika.

Notatki w tej mierze redakcja Łowca Polskiego przyjmować będzie od Kolegów nader chętnie.

*

Na zakończenie zaznaczam, że polowanie, którego opisem rozpocząłem powyższe rozważania, było specjalnie pechowe, czy może w dzisiejszych warunkach 100% prawie bezpieczeństwa na polowaniu (ze strony zwierzyny, oczywiście) szczęśliwe, gdyż następnego dnia zaszarżowała mnie gruba locha, uprzednio ciężko zestrzelona przez prof. Jaroszyńskiego.

Co prawda, wina była całkowicie po mojej stronie, gdyż zbyt pochopnie wcisnąłem się za postrzałkiem w gąszczary.

W każdym razie, gdy sztuka zrulowała mi po pierwszym strzale pod nogi, to żeby strzelić po raz drugi do tłukącego się dzika, musiałem cofnąć się o krok, gdyż lufy drylinga dotknęły bezpośrednio kudłatego łba czarnego zwierza.

Z. Kowalski



„Na stanowisku"

fot. T. Rafiński

JÓZEF GIEYSZTOR

Ankieta Łowca Polskiego

Przed rokiem w łonie Komitetu Redakcyjnego naszego pisma powstała myśl, aby zwrócić się do ogółu Czytelników z prośbą o wypowiedzenie swego zdania czy i w jakim stopniu Łowiec Polski czyni zadość swemu zadaniu jako organ prasowy Polskiego Związku Łowieckiego, względnie, jakich wymaga zmian czy uzupełnień.

W wykonaniu tego zamiaru opracowano kwestionariusz „ankiety" w potsaci 9 pytań, które, po wydrukowaniu w ilości 25 tysięcy egzemplarzy, były z początkiem maja roku ubiegłego rozesłane prenumeratorom Łowca Polskiego przy 5 zeszycie pisma.

Pytania te sformułowano w sposób następujący:

1. Jakie jest zdanie ogólne Kolegi o Łowcu Polskim pod względem jego treści i szaty zewnętrznej?
2. Jakie zarzuty stawia Kolega dotychczasowej treści pisma?
3. Jakie zmiany w układzie pisma uważałby Kolega za pożądane?
4. Czy interesują Kolegę wspomnienia łowieckie z czasów dawnych?
5. Czy czytane są chętnie wrażenia z polowań egzotycznych spoza granic Polski czy nawet Europy?
6. Opisy jakich polowań krajowych chciałby Kolega widzieć częściej na łamach Łowca Polskiego (na zwierzynę grubą, drobną czy ptactwo)?
7. Czy artykuły fachowe, dotąd zamieszczane, były na poziomie dostępnym?
8. Jaki dział łowiectwa z zakresu hodowli i ochrony zwierzyny wymaga większego uwzględnienia?
9. Na jakie usterki w organizacji terenowej należy zwrócić baczniejszą uwagę?

Już od połowy maja poczęły napływać odpowiedzi od członków, ale ściślej liczby wypełnionych kwestionariuszy nie da się ustalić, gdyż z końcem maja, w okresie największego ożywienia ankiety, warszawska Dyrekcja Poczt uznała wypełnione kwestionariusze za listy zamknięte i zażądała od każdego egzemplarza dopłaty po 25 zł. Wobec perspektywy, że przy nadesłaiu odpowiedzi nawet od 25% członków, dopłata pocztowa wyniesie setki tysięcy złotych, redakcja odmówiła przyjmowania zakwestionowanych pism ankiety. Na skutek protestu redakcji Ministerstwo Poczt i Telegrafów cofnęło zarządzenie dyrekcji warszawskiej, ale nastąpiło to dopiero po upływie dwóch tygodni, wobec czego znaczna część ankiet, wysłanych w międzyczasie, już nie doszła do redakcji.

Wobec powyższego opracowanie niniejszego artykułu oparte jest tylko na 636 egzeplarzach. Tyleż przypuszczalnie odpowiedzi zniszczono, względnie zaginęło wskutek odmowy nadawców do uiszczenia dopłaty. Gdyby ilość ogólną odpowiedzi przyjąć na 1.250, stanowiłoby to 5% od 25 tysięcy rozesłanych egzemplarzy.

Przechodząc do scharakteryzowania składu członków, którzy na ankietę odpowiedzieli, stwierdzić przede wszystkim należy — na podstawie podanych na kwestionariuszach nazwisk i adresów — że z pomiędzy łowczych i podłowczych powiatowych odpowiedziało na ankietę tylko 17 osób; 36 odpowiedzi pochodzi od osób, które są znane redakcji bądź z tytułu współpracownictwa w Łowcu Polskim, bądź z działalności w terenie, bądź też wyróżniły się przy redagowaniu odpowiedzi specjalnym zainteresowaniem się ankietą. Reszta zaś odpowiedzi pochodzi od szarej masy czytelników Łowca Polskiego, składającej się w pewnej części z inteligencji pracującej: leśników, lekarzy, inżynierów, nauczycieli, ale w głównej swej masie z chłopów i robotników, starszego i młodego pokolenia.

Dla bliższej charakterystyki przytaczamy poniżej podział odpowiedzi pomiędzy województwa, z podaniem ilości autorów odpowiedzi bardziej szczegółowych oraz udziału w akcji łowczych i podłowczych powiatowych:

województwo	ilość odpowiedzi	w tym bardziej wyczerpujących	udział łowczych i podłowczych
warszawskie	91	10	2
poznańskie	76	7	3
pomorskie	43	4	4
łódzkie	50	3	—
krakowskie	63	4	1
rzeszowskie	33	2	1
śląsko-dąbrowskie	42	5	2
dolno-śląskie	50	9	1
lubelskie	41	4	1
kieleckie	45	1	1
białostockie	28	3	—
gdańskie	28	1	—
olsztyńskie	23	3	1
szczecińskie	23	1	—
Razem:	636	36	17

Zebrany w drodze ankiety materiał był poddany szczegółowej analizie i próbie — pomimo ogromnej rozbieżności zdań — sformułowania pewnych konkretnych wniosków, które można by uznać bądź za wskazówki, nadające się do wykonania, bądź za dezyderaty, do których stopniowego zrealizowania należy dążyć.

Część wniosków tych, dotyczących pierwszych siedmiu pytań ankiety, a obejmujących układ Łowca Polskiego, ujęliśmy w pewne rozdziały tematyczne.

I. Układ programowy Łowca Polskiego

Łowiec Polski, jako organ Polskiego Związku Łowieckiego, powinien poruszać całość spraw, obchodzących zespół myśliwych Polski, jako



Bajkowy las fot. S. Puchalska

organizacji społecznej, ideologicznej i fachowej. Toteż obok artykułów o treści programowo-ideologicznej i społecznej, powinny znaleźć tam miejsce prace fachowe z zakresu hodowli i ochrony zwierzyny, wykonania polowania, znajomości broni i amunicji, chowu i układu psów, strzelectwa myśliwskiego, gospodarczego znaczenia łowiectwa, ustawodawstwa łowieckiego, organizacji terenowej, wiadomości łowieckich z poza granic kraju, wreszcie dział beletrystyki.

Dla nawiązania możliwie ścisłego kontaktu pisma z ogółem członków, powinny być wprowadzone rubryki: korespondencja z czytelnikami, poradnictwo fachowe, pytania i odpowiedzi.

Z uwagi na duży napływ myśliwych młodych wiekiem lub doświadczeniem, należy wprowadzić w każdym zeszycie pisma 4-stronnicowy dodatek pt. „Młody Myśliwy", w którym w przystępnej formie zamieszczany byłby całkowity kurs łowiectwa ideowego, praktycznie ujęte zasady hodowli i ochrony zwierzyny, konkretne wskazówki organizacji polowań, obchodzenia się z bronią, tresurą psów, zaznajomienie się z językiem łowieckim, z prawami i obowiązkami zrzeszeń łowieckich itd.

II. Dobór artykułów

Skład społeczny czytelników Łowca Polskiego sprawia, że od zamieszczanych w piśmie artykułów domagają się oni bądź wyraźnych odpowiedzi na powstające u nich wątpliwości natury organizacyjnej czy fachowej, bądź też rozrywki. W zależności od tego, zarówno autorzy, jak i zespół redakcyjny, powinni przy wyborze artykułów fachowych i rzeczowych kłaść specjalny nacisk na konkretyzację wniosków i zale-

ceń ,dawać łatwo wykonalne rady praktyczne, unikając nadmiernego zagłębiania się w szczegóły natury teoretycznej.

W beletrystyce widziane są chętnie wszelkie jej postacie, w tym również wspomnienia z lat dawnych czy też opisy polowań w obcych, nawet egzotycznych krajach. Ze względów kształcących, kierownictwo redakcyjne winno jedynie dbać o taki dobór prac z tego zakresu, któryby uwzględnił w nich przewagę momentów informacyjnych i pouczających.

W tymże dziale beletrystycznym powinien być uwzględniony humor i satyra, o które upominają się liczni czytelnicy. Dla uniknięcia zarzutu stronniczości czy przywileju, należy zabiegać o niepowtarzanie zbyt często utworów tych samych autorów i ilustratorów oraz dążyć do ściągnięcia nowych współpracowników, zwłaszcza z prowincji.

III. Szata zewnętrzna i objętość pisma

Wobec rozbieżności zdań w ocenie wyglądu zewnętrznego pisma i wyrażonych w tym kierunku życzeń, wzajemnie się wyłączających, zadaniem wydawców pisma i kierownictwa redakcyjnego powinna być dążność do możliwie osiągalnego podniesienia poziomu tej szaty, zarówno przez zdobycie lepszego papieru, jak i wprowadzenie ulepszeń graficznych w drodze modernizacji, w szlachetnym znaczeniu, układu drukarskiego oraz zdobycia doskonalszych zdjęć na konkursach fotograficznych czy zamawiania rysunków u zdolnych grafików.

Zwiększenie objętości pisma wydaje się ze wszech miar wskazane, a zwłaszcza w razie urzeczywistnienia wniosku o dołączeniu do Łowca Polskiego czterostronnicowego dodatku pt. „Młody Myśliwy". Dodanie czterech stron tekstu doprowadziłoby objętość pisma do 32 stron, czyli równo 2 arkuszy, a nie 1¾ — co jest ze stanowiska drukarskiego bardzo dogodne i odbije się właściwie tylko na podrożeniu wydawnictwa o koszt papieru.

IV. Terminowa dostawa pisma

Opóźnienia w dochodzeniu Łowca Polskiego do rąk Czytelników jest bolączką, podnoszoną nie tylko przez autorów odpowiedzi na ankietę, ale przez tysiące członków, zgłaszających reklamacje do administracji pisma. Aczkolwiek lwia część reklamujących jest sama sprawcą opóźnienia przez zbyt późne uiszczanie składek członkowskich, to jednak bardzo dużo członków, którzy wpłatę tę w czasie uskutecznili, otrzymuje Łowca Polskiego z kilkumiesięcznym opóźnieniem, a często już bez pierwszych zeszytów, jako wyczerpanych.

Tu wina spada całkowicie na wszystkie rady wojewódzkie, nieprzestrzegające terminowego nadsyłania administracji wykazów z adresami członków ,którzy opłatę uiścili, ale grupujące je w ilości większe i przesyłające nieraz po upływie paru miesięcy. W dodatku, przy przepisywaniu wykazów, nadsyłanych przez łowczych powiatowych, biura rad wojewódzkich popełniają błędy w adresach.

Radykalnym wyjściem było by włożenie obowiązku układania takich list z adresami przez rady powiatowe i wysyłania ich równocześnie w jednobrzmiących odpisach do administracji Łowca Polskiego i do odnośnej rady wojewódzkiej. Bez względu jednak na to czy jest to, dla tych czy innych względów, do przeprowadzenia, ze strony wydawnictwa powinna być wykorzystana inna droga — mianowicie zwiększenie personelu ekspedycyjnego Łowca Polskiego przynajmniej o 2 osoby (dziś są 4), aby dodatkowe opóźnione zgłoszenia na wysyłkę pisma, idące w dziesiątki tysięcy, a wymagające osobnej korespondencji, nie zatrzymywały ekspedycji normalnej, zwiększonej dziś z 25 tysięcy do 35 tysięcy egzemplarzy.

*

Tak sformułowane wnioski z ankiety omówiono szczegółowo na paru posiedzeniach Komitetu Redakcyjnego. W wyniku wymiany zdań postanowiono je uwzględnić przy projektowaniu planu redakcyjnego Łowca Polskiego na 1950 r., w stopniu następującym:

1. **Układ programowy** pisma powinien się opierać na podziale tematycznym, przyjętym za podstawę prac Komitetu Redakcyjnego i zbiegającym się na ogół z wypowiedziami Czytelników. Dla nawiązania bliższego kontaktu z Czytelnikami, mają być wprowadzone stopniowo nowe rubryki: „Czytelnicy piszą", „Pytania i odpowiedzi", „Poradnictwo fachowe". Zamiast wprowadzenia osobnego dodatku „Młody Myśliwy", ma ulec zmianie układ pisma przez wprowadzenie w większym stopniu prac z zakresu podstaw łowiectwa, hodowli zwierzyny, organizacji polowań itp., ujętych w formie dostępnej dla szerszego ogółu myśliwych mniej doświadczonych, bez obniżania jednak ogólnego poziomu pisma.

2. **Dobór artykułów** — ma być dokonywany w uwzględnieniu zmian w składzie społecznym członków PZŁ. Warunkiem podstawowym jest nadanie zamieszczonym pracom, zwłaszcza z dziedziny fachowej i organizacyjnej, charakteru konkretnych wskazań i zaleceń, dostępnych do zrozumienia i wykonania, bez nadmiernego zagłębiania się w szczegóły natury teoretycznej. W beletrystyce, obok dobrej formy literackiej, należy kłaść nacisk na zachowanie w niej momentu instrukcyjnego i pouczającego. Dla ożywienia treści pożądane jest wprowadzenie humoru i satyry.

Celem zapobieżenia monotonności należy dążyć do wprowadzenia autorów nowych, zwłaszcza z terenu, co osiągnąć trzeba w drodze ogłoszenia konkursów na wskazane tematy oraz zaproszenia korespondentów terenowych. W tym samym celu zwalczać należy dłużyznę artykułów, stawiając jako maksimum 3—4 strony pisma, czyli 6—8 stron maszynopisu.

3. **Szata zewnętrzna i objętość pisma** doznaje z dn. 1 stycznia 1950 r. poważnej poprawy. Wprowadza się bowiem okładkę dwubarwną oraz objętość powiększoną do 32 stron tekstu.

4. **Terminowa dostawa pisma** — o ile zależy ona od administracji Łowca Polskiego — została zapewniona przez zwiększenie składu ekspedycji o 2 osoby. Ale przypomnamy raz jeszcze, że główną przyczyną zwłoki jest zbyt późne uiszczanie składek przez członków oraz wadliwe dostarczanie ich adresów przez rady wojewódzkie. Poprawę tego stanu rzeczy powinno dać zarządzenie walnego zgromadzenia członków PZŁ, ustalające końcowy termin wpłaty składki do dnia 31 marca. Może groźba utraty członkostwa do końca roku zmusi opieszałych kolegów do terminowego wywiązania się z ich elementarnego obowiązku, jako członków rodziny polskich myśliwych.

J. Gieysztor



Wilki w lutym *rys. A. Grocholski*

JÓZEF TARGOWSKI

Polowanie z latarnią

Długotrwała podróż okrętem zbliża bardzo ludzi. W basenie, na plaży pokładowej, na śniadaniu, obiedzie, w barze czy salonie, spotykają się ludzie wiele razy na dzień; w skwarne południa drzemią obok siebie na leżakach, a często, gdy wzburzone morze daje się we znaki, pocieszają się przynoszonymi od kapitana wiadomościami, że już rychło nastanie upragniona pogoda.

Gdy na szare, zbałwanione morze wypłynęliśmy z Marsylii 3 stycznia, zachmurzone niebo i zimny wiatr trzymały nas w kabinach, aż do Egiptu, dopiero w kanale Suezu ciepła pogoda wywabiła pasażerów na pokłady, a wtedy szybko zaczęto zawierać znajomości. Po kilku dniach i rozmowach zbliżyłem się ze starszym, bardzo godnym Francuzem, który swój leżak rozłożył sobie obok mojego. Był to p. L. Gdy się dowiedział, że jestem zamiłowanym myśliwym, zapronował mi polowanie na tygrysa w dżungli, przy sposobności dłuższego postoju okrętu w Sajgonie.

W piękną pogodę i spokojnym jak staw morzem, dopłynęliśmy do górzystego przylądka „Cap St. Jacques", koło którego wpada do morza przecinająca Indochiny rzeka Mekong i tworzy tutaj wielką deltę. Stoimy na kotwicy w zatoce parę godzin, by dopiero z przypływem morza ruszyć głównym korytem rzeki w głąb kraju kilkadziesiąt kilometrów i dotrzeć do stolicy Kochinchiny, Sajgonu.

Koło południa zaczynamy płynąć wśród błotnistych lagun, porosłych niską, zieloną krzewiną, przypominającą naszą nadwiślańską łozinę. Za nami znika powoli skaliste wzgórze zatoki, a przed nami zaczynają majaczyć wieże katedry sajgońskiej. Prowadzeni ostrożnie przez pilota między lagunami, koło 4 godziny po południu, przycumowani do brzegu w basenie rzecznego portu, wysiadamy na ląd. Na nadbrzeżu oczekuje p. Damprun, administrator okręgu Biennoha, podobno jeden z najlepszych myśliwych w tym kraju.

Zabrawszy myśliwski ekwipunek, ruszyliśmy w drogę. Minąwszy miasto, wjechaliśmy na znakomitą asfaltowaną szosę. Mijamy kilka anamickich wiosek, jakieś miasteczko małe i jedziemy wciąż nizinnym krajem, porżniętym kanałami i błotnisto rozlanymi rzeczkami, w których nie brak krodyli. Koło drogi ciągną się pola ryżowe, zalane płytką wodą, w którą tubylcy — anamici, brodząc po kostki, wysadzają w równą kratkę sadzonki ryżowe. Niebawem wydostajemy się na trochę wyższy płaskowzgórz, mijamy skrawek palmowego lasu i będąc coś około 35 kilometrów od Sajgonu, skręcamy z szosy w szeroką bramę starannie utrzymanego ogrodu. Samochód staje przed kamiennym tarasem piętrowej willi, tonącej w kwitnących krzewach. W drzwiach wchodowych stoi p. Damprun, wprowadza do wnętrza i przedstawia swej żonie i jej siostrze.

Po skończonym obiedzie, gospodarz zaprasza do swego gabinetu, gdzie ma cały swój arsenał myśliwski. Najważniejsza rzecz, to hełm z latarnią, który trzeba odpowiednio dopasować na głowie i umieć się z nim obchodzić. Kładą mi więc na głowę kask pleciony z łyka palmowego, na którym osadzona jest latarnia w rodzaju niewielkiego faru motocyklowego, ale z mocnym reflektorem. W połączeniu z nim kładzie się na plecy mały tornister z bateriami elektrycznymi. Za włączeniem kontaktu silny promień światła tryska z nad mego czoła i oświetla dokładnie sąsiedni pokój. Teraz trzeba spróbować składać się strzelbą czy sztucerem, a hełm dopasować tak, by muszka broni znalazła się w samym środku świetlnego promienia. Gdy się już z tym wszystkim trochę zapoznałem i oswoiłem, wracamy do domu i niebawem wyruszamy na polowanie.

Gospodarz siada przy szoferze, by mu wskazywać drogę, ja na siedzeniu z moim towarzyszem, z którym mamy obserwować pilnie każdy swoją stronę drogi. Mijamy z początku jakieś pola uprawne, potem sporą plantację kauczuku, mijamy linię kolejową do Tonkinu, jakąś wioskę małą, rzekę, znowu pole i wjeżdżamy w dżunglę. Olbrzymie stare drzewa sterczą niby wielkie solitery z wysokiego podszycia gąszczu krzewów, trzcin, paproci, traw, mniejszych drzew, a to wszystko spięte siatką ljan.

Brzegiem szosy ku rowu, pomknęło coś podobnego do naszego zająca, a po Damprun objaśniając, że to leporidy, proponuje, bym dla wprawy strzelił takich kilka, tym bardziej, że jesteśmy jeszcze dość daleko od miejsca, gdzie możemy spotkać grubego zwierza. Chętnie się na to zgadzam i staję w aucie, które zwalnia przy każdym kręcącym się w świetle farów leporidzie, a że strzały były bliskie i łatwe, więc po sześciu strzałach zebraliśmy do auta sześć leporidów. Wtedy p. Damprun odezwał się:

— Mogę pana spokojnie wieźć na grubego zwierza, widzę, że pan nie pierwszy raz ma broń w ręku.

Jedziemy jeszcze kilkanaście kilometrów, gdy nagle mój towarzysz zatrzymuje samochód umówionym dotknięciem szofera w ramię. Wysiada, podchodzi, pada strzał, a szofer przynosi pięknego dzikiego kota, kolorem podobnego do żbika. Jedziemy dalej, teraz po chwili znów ja dostrzegam dość daleko parę żółtawych ślepi, a obok nich drugą i trzecią. Wysiadam, przechodzę ostrożnie rów szosowy i sunę dalej po nieznanym terenie, macając go nogami, by się nie potknąć i nie wypuścić zwierza z promienia mej latarni. W miarę jak posuwam się naprzód, zaczynam w ciemności dostrzegać wyłaniającą się powoli sylwetkę jelenia, a gdy dalej podchodzę, widzę jego dość dziwaczne rozłożyste rogi. Staram się mierzyć najlepiej i wypuszczam kulę. Może się trochę pośpieszyłem ze strzałem, po którym zakotłowało się w stadzie, a silny równy tętent uciekających sztuk zdawał się dowodzić, że chybiłem. Obeszliśmy dość dokładnie polankę, a szczególniej miejsce strzału, ale nigdzie znaku farby czy turzycy nie było. Jedziemy dalej, a poprawiam się cokolwiek, zabijając kolejno innego rodzaju dzikiego kota (rodzaj rysia), tak zwanego tam „chat - tigre", z pięknym pręgowanym futrem, a następnie dwa „agoutil". Śmieszne są te małe, bezrogie sarenki, chyba nawet mniejsze od zająca.

Jedziemy ciągle dalej, a monotonne przesuwanie się bliskiego krajobrazu z jednolitym gąszczem i polankami, a przy tym jednolity równy stuk motoru, działa niezwykle usypiająco. Ocknął mnie znów widok dwóch wyraźnych zielonkawych świateł w krzakach tuż nad ziemią, więc zatrzymuję motor, wysiadam i ostrożnie zaczynam podchodzić, bo wydały mi się bardzo bliskie. Gdy już miałem przechodzić rów szosowy, jedno oko rzekomego zwierza uciekło w górę na lewo, a drugie znów ku mnie w dół na prawo. Zmyliły mnie tak dwa świetliki, ale jakże były podobne do ślepi zwierza i to grubego, gdy siedziały obok na liściach tej samej gałązki.

Minęła jeszcze dłuższa chwila monotonnego i męczącego wypatrywania, gdy nagle na skraju polanki, w dukcie, podobnym do sklepionego gąszcza zieleni tuneliku, spostrzegłem wypełniający go bodaj doszczętnie łeb i duży przód lamparta. Daję kierowcy umówiony sygnał w prawe ramię i z niezwykłą emocją przeżywam ułamki wprost sekund, gdy on zatrzymuje auto, a potem zaczyna ostrożnie i powoli cofać się ku prawej stronie rowu. Z każdym metrem prze-

bywanej wstecz przestrzeni, serce bije z emocji coraz silniej, bo nie widzę zwierza. Przychodzi mi myśl, że może coś mi się w półśnie mogło przywidzieć czy zamajaczyć, gdy tymczasem mijamy wolniutko miejsce, w którym lampart stoi bez ruchu, jak stał. Zanim szofer zatrzymał wóz, wychylam się tak, by nie wypuścić zwierza z promienia mej latarni, ostrożnie wysiadam, odbezpieczam broń i zaczynam podchód. Dystans niewielki, więc wrażenie potężne, gdy po kilkunastu krokach i przedostaniu się przez rów szosowy, stoimy naprzeciw siebie o kilkanaście kroków zaledwie: lampart, zafascynowany promieniem światła, a ja, wpatrzony w niego z tą świadomością, że za małą chwilę jeden z nas żyć pewno nie będzie. Bez strachu jednak powstrzymuję oddech, staram się powstrzymać bicie walącego wprost z emocji myśliwskiej serca i opanować przeżywane wrażenie. Jeszcze jeden krok, jeszcze sekundę napawam się wspaniałym widokiem tego zwierza na wolności, wreszcie spokojnie składam się, mierząc w lewą łopatkę wielkiego kota, który stoi z obróconym ku mnie łbem, na lekko kulawy sztych.

Pada strzał, lampart zwalił się w tył, ryknął potwornie i widzę, jak usiłuje odsadzić się do skoku na mnie. To wszystko dzieje się błyskawicznie, a ja odruchowo trzymam przed sobą strzelbę z drugą kulą tak, jakbym miał drugi strzał dawać w locie czy raczej w skoku zwierza na mnie. Tymczasem lampart zwinął się w tył i parokrotnie porykując, próbował odbić się do skoku, ale bezskutecznie. Ciężko ranne zwierzę nie mogło już skoczyć, mimo parokrotnych wysiłków, i tłukło się tylko w gęstych krzakach. Zmieniłem szybko wystrzelony ładunek, a mając znowu dwa strzały, czułem się pewniej, tym bardziej, że w pobliżu porykiwał drugi lampart, zwabiony rykiem mojego. Rozglądałem się więc z myśliwską zachłannością czy bogini Diana nie ześle mi wypadkiem dubletu, ale szybko rozsądek kazał porzucić te bujne marzenia i pilnować strzelonej sztuki, która ciągle, niewidoczna dla mnie, tłukła się po gąszczach. Bałem się, by się nie poczołgała dalej tak, że moglibyśmy już jej nie znaleźć i promieniem faru na głowie przeszukiwałem teren przed sobą. Nagle pokazał się łeb strzelonej sztuki na dukcie, więc błyskawicznie strzeliłem z przyrzutu. Zakotłowało się na ścieżce, lampart, którego dobrze widziałem, tarzał się i rzucał. Byłem już spokojny, że go dostaniemy, a gdy chciałem się bliżej do niego podsunąć, p. Damprun, który już podszedł z szoferem, powstrzymał mnie od dalszego kroku. Twierdził, że nie wolno się zbliżać do takiego drapieżnika, dopóki daje znaki życia jakiemikolwiek odruchami, gdyż do końca jest bardzo niebezpieczny. Czekaliśmy więc ponad 10 minut, zanim zwierzę przestało się ruszać, po czym z wielkim trudem i wysiłkiem wywlekliśmy je na polankę. Oględziny wykazały, że, czego nie mogłem się domyślać, lampart stał zadnimi łapami na naturalnym zagłębieniu terenu, a przednimi jakby na grobelce, tak, że kula eksplory przeszła ponad komorą i roztrzaskała krzyż, paraliżując ruchy. Druga kula trafiła pod oko i rozbiła czaszkę, co nie przeszkadzało, że to twarde zwierzę tak długo jeszcze dawało oznaki życia. Lampart był tak duży (przywieziony do domu, ważył 98 kg), że z biedą zdołaliśmy włożyć go do auta, w którym tak wypełnił miejsce między obu siedzeniami, że resztę drogi musiałem odbywać klęcząc, lub nogi trzymając do góry.

Dochodziła już druga w nocy, czasu zeszło nam sporo przy lampartcie, trzeba było myśleć o powrocie, bo byliśmy o kilkadziesiąt kilometrów od domu, a że akurat szosy się krzyżowały, postanowiono wracać inną drogą. Nie ujechaliśmy daleko, gdy zatrzymuję auto, widząc z dala przed sobą dwa świecące punkty, które mi w pierwszej chwili zrobiły wrażenie oddalonych latarń pociągu, tak były duże i jasne. Gdy zacząłem podchodzić — nagle mi znikły, a gdy już miałem wracać do auta, z wąskiego w polankę wrzynającego się języka krzaków jednym susem wypłynął wspaniały tygrys i utonął w pobliskim gąszczu dżungli. Widok był tak fascynujący, a przy tym krótkotrwa-



Wspaniały tygrys *rys. S. Rozwadowski*



Ranny lampart

rys. S. Rozwadowski

ły, że o strzale nie mogło być mowy, zacząłem więc iść do miejsca, gdzie zniknęło piękne zwierzę. Zawrócił mnie p. Damprun, który stojąc w samochodzie obserwował cały ten widok i objaśnił, że w tym rewirze znajduje się taki tygrys, stary i mądry, który nie boi się świateł i kilkakrotnie uszedł już śmierci.

Rozwidniało się gdy koło piątej rano wracaliśmy do domu. Dzień pod zwrotnikami szybko nastaje po nocy, tylko dotkliwy chłód daje się przed wschodem słońca we znaki. Pełna emocji pierwsza moja noc w dżungli zakończyła się kilkoma godzinami zasłużonego odpoczynku. Po wczesnym obiedzie wyruszyliśmy na dalekie tereny, na których w stepie miały być bawoły. Istotnie z płaskowzgórza na dole roztaczał się szeroki widok, a przez lornetę można było widzieć, jak czarne punkty — duże stado. Gdyśmy, okrążając dżunglą, próbowali je bliżej podjechać, już nic na tym miejscu nie było.

Byliśmy już pod wieczór w powrotnej drodze z tej dalekiej wycieczki, kiedy p. Damprun zatrzymał auto i pokazał mi nadzwyczaj ciekawy widok. Był to kilkunastometrowej szerokości wytłoczony szlak w dżungli, który wyglądał tak, jakby tamtędy przeszła trąba powietrzna. Krzaki były stratowane, a drzewa grubości ludzkiej nogi i więcej, powyrywane z korzeniami i porzucone na bok, jakby ktoś uprzątnął karczowaną drogę. Torowisko to ciągnęło się het w las i nie było widać jego końca. Dowiedziałem się ze zdziwieniem, że to ślad pozostały po przejściu dużego stada słoni.

Gdy trzeciego dnia samochodem pełnym trofeów wracaliśmy na okręt, przyjmowano nas tam jak triumfatorów, a już szczególniej panie trzęsły się z podziwu na widok pazurów i kłów lamparta. Tylko kapitan, bywalec tych stron, szczerze się cieszył, że u lamparta ocalały wąsy i kły, które zwykle tubylcy wyrywają zaraz po śmierci zwierzęcia, by na tamtym świecie nie mogło kąsać dusz ludzkich.

Leporidy, rogacz, a szczególniej „agoutils" zjedzone zostały przy stole kapitańskim, w gronie zaproszonych osób na następnych paru obiadach, na których wesoło oblewano pomyślne nasze łowy. Resztę trofeów rzeźnik okrętowy oprawił i w lodowni okrętowej przechował aż do Szanghaju, gdzie zręczny Chińczyk je spreparował.

Wiele rzeczy na świecie dzieje się skutkiem przypadku, a więc i tutaj, jedno z najciekawszych wrażeń myśliwskich zawdzięczam szczęśliwemu przypadkowi poznania na okręcie p. L., toteż gdyśmy się rozstawali w Haipong, szczere i serdeczne składałem mu podziękowanie.

J. **Targowski**

Prof. JANUSZ DOMANIEWSKI

Jarząbek

SYNONIMY ŁACIŃSKIE. **Tetrao bonasia** LINN., **Tetrao canus** SPARRM., **Bonasia septentrionalis** BREHM, **Bonasia europaea** GOULD, **Bonasia canescens** MENZB., **Bonasia betulina** TACZ., **Bonasia rupestris** BREHM, **Tetrao bonasia rupestris.** (BREHM), **Tetrastes bonasia volgensis** BUT., **Tetrastes bonasia grassmani** (ZEDL.). SYNONIMY POLSKIE: kniejotek jarząbek, głuszec jarząbek, jarząbek właściwy. NAZWY W JĘZYKACH OBCYCH. Ang.: Hazel grouse. Franc. Gélinotte des bois. Niem.: Haselhuhn. Ros.: riabczik.

CECHY ROZPOZNAWCZE. Długość skrzydła 15,7 — 18 cm. Z wierzchu szary, brunatno, rdzawo i biało upstrzony. Od spodu biały, czarnoplamisty. Samiec odznacza się czarną gardzielą.

OPIS. **Stary samiec.** Pióra na wierzchu głowy tworzą czubek. Czoło i wierzch głowy brunatnoszare z czarnobrunatnym, poprzecznym pręgowaniem; na ciemien u rdzawy odcień. U nasady dzioba czarniawobrunatna plama. Przed okiem biała plamka, za okiem również. Gardziel czarna, biało obwiedziona. Kark i górna część pleców szaropopielate, czarniawobrunatno prążkowane. Dolna część pleców, kuper i pokrywy nadogonowe popielate, z czarnymi, wąskimi strychami stosinowymi i czarnym, drobniutkim upstrzeniem. W poprzek dolnej części szyi biały pasek, zachodzący na boki pleców. Poza gardzielą, spód ciała biały, czarno-łuskowato-plamisty. Na przodzie szyi i bokach tułowia rdzawy nalot. Pokrywy podogonowe rudawoszare, czarno popylone. Lotki szarobrunatne; w pierszorzędnych — zewnętrzne chorągiewki płowobrunatne pręgowane. Barkówki i pokrywy skrzydłowe rdzawobrunatne, z czarnymi, szarymi i białymi plamkami. Sterówki szarobrunatne z jasnoszarym falowaniem. Za wyjątkiem dwu środkowych, wszystkie sterówki są białawo zakończone i mają szeroką, przedkońcową, czarniawobrunatną pręgę. Dokoła oka nagi czerwony pierścień. Tęczówki orzechowobrunatne. Dziób czarny.

Stara samica. Na ogół podobna do samca, jednak podbródek i gardziel nie czarne, a białe z rdzawym odcieniem i ciemnobrunatnymi plamkami. Na karku i górnej części pleców rdzawobrunatny odcień. Nagi pierścień dokoła oka węższy. Dziób nie tak czysto czarny.

Młody. Podobny do samicy, lecz ma na ogół upierzenie bledsze i pstrocizně mniej wyrazistą. Przedkońcowa przepaska na ogonie słabo zaznaczona. Dziób brunatnorogowy. **Pisklę.** Spód ciała bladożółty z brunatnym nalotem w okolicach wola. Wierzch kasztanowatobrunatny, na ciemieniu i karku ciemniejszy. Przez oko czarniawobrunatna smuga. Różnice w wielkości między samcami i samicami niewielkie.

Jaja podobne do jaj głuszca i cietrzewia, lecz na ogół bledsze, zwykle z czerwonawobrunatnym upstrzeniem, niekiedy zupełnie bez upstrzenia, jednolicie szaroceglastożółtawe. Wymiary jaj: 36,1 — 45,4, 27 — 30.7 mm. Ilość jaj w zniesieniu: 8 — 15.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. Zamieszkuje północ Eurazji od Atlantyku po Pacyfik. W Europie północna granica jego gniazdowania ciągnie się od 69° północnej szerokości w Skandynawii do 67° północnej szerokości na Uralu. W kierunku południowym gnieździ się do Pirenejów, Italii północnej, Jugosławii i Rumunii, w Rosji do lasów Czernichowskich, Briańskich, Morszańskich i Samarskiego Zakola. Na tej przestrzeni wytwarza szereg podgatunków, z których w Europie występują cztery. **T. b. bonasia zamieszkuje** Skandynawię, Laponię, Finlandię i Rosję północną. **T. b. grasmanni** — Polskę, Litwę, Łotwę i Rosję zachodnią. **T. b. rupestris** — Europę zachodnią, po Polskę włącznie. **T. b. volgensis** — Rosję na wschód od **T. b. grasmanni.** Granice rozmieszczenia tych podgatunków nie są dokładnie znane. Tak więc w Polsce występują prawdopodobnie dwa podgatunki: **T. b. rupestris** i **T. b. grasmanni.** Jak jednak przebiega granica między nimi — nie wiadomo.

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Dawniej zamieszkiwał niewątpliwie wszystkie lasy. Obecnie zachował się tylko w większych obszarach leśnych, głównie na wschodzie i południu — w górach.

TRYB ŻYCIA. W przeciwstawieniu do cietrzewia i głuszca, jarząbek jest ptakiem mało towarzyskim. Poza okresem lęgowym, ściślej mówiąc — prowadzenia młodych, jarząbki trzymają się parami, względnie pojedynczo, tak że widok kilku jarząbków, zebranych w stadko, może się zdarzyć tylko wyjątkowo, najzupełniej przypadkowo.

Jarząbek jest ptakiem osiadłym i na ogół dość ściśle przywiązanym do pewnej ograniczonej przestrzeni. Każda para zamieszkuje określoną powierzchnię lasu, której centrum stanowi miejsce gniazdowania; terytorium to uważa za swoją własność, o którą stacza boje z intruzami. Trzyma się go też stale i uporczywie, a jeśli nawet na pewien czas wykoczowuje, to zawsze później doń powraca. Mianowicie w niektórych częściach swej krainy gniazdowania, jarząbki w różnych porach roku zmieniają miejsca pobytu, tak zresztą, jak w miarę zmiany warunków fizjograficznych danych przestrzeni, zmieniają się ich obyczaje w szczegółach. Tak więc np. na północy Rosji, w guberniach archangielskiej i wołogodskiej, jarząbki przez jesień i zimę trzymają się w lasach brzozowych i olszynowych. W miarę zbliżania się wiosny, przenoszą się do lasów iglastych, w których spędzają cały okres gniazdowania. Te miejsca ich letniego i zimowego bytowania nie są jednak od siebie zbyt oddalone. Mimo to jarząbki przelatują

z jednych do drugich, nie od razu, a w ciągu kilku dni, przesuwając się ku nim stopniowo o wschodzie i zachodzie słońca. Przeciwnie, w bardziej południowych częściach swej krainy rozmieszczenia, jarząbek trzyma się latem w lasach liściastych, a jesienią przenosi się do borów.

Lot jarząbka jest silny i bystry, jakkolwiek mało wytrzymały. W każdym razie nie widuje się nigdy tego ptaka, przelatującego większe odległości. Lecąc nie wznosi się wysoko. Nad lasem nie widuje się go nigdy. Lecąc wydaje skrzydłami charakterystyczne warczenie. Jest ono szczególniej silne, gdy ptak zrywa się do lotu. Spłoszony nie odlatuje daleko i siada zaraz na drzewie. Siada zwykle w połowie wysokości starego drzewa; w czubku nie siada nigdy. Usiadłszy na gałąź, nieruchomieje, a kolorytem swym zlewa się tak dobrze z otoczeniem, że wypatrzenie go na drzewie jest rzeczą trudną. Po gałęziach drzew porusza się bardzo sprawnie. Tak np., jeśli usłyszy jakiś podejrzany szmer po drugiej stronie drzewa, to biegnie po gałęzi do pnia i, wysunąwszy zzań głowę, bacznie obserwuje. Na drzewie siedzi twardo i bodaj lepiej dotrzymuje niż na ziemi, jakkolwiek będąc z natury ostrożnym i tu nie dopuszcza człowieka zbyt blisko. Psa natomiast mniej się obawia. Spokojnie spogląda na naszczekującego i tak oszczekiwany, siedzi na miejscu bardzo długo.

„I dziwnie ptak ten umie się ukrywać, pisze MNISZEK. Przez najbogatszy w jarząbki rewir przejść można i obecności tych ptaków ani się domyślać. Czasem tylko usłyszysz charakterystyczne burknięcie i mignie ci się śród gałęzi duży ptak szary o jasnym skrzydeł podbiciu. Przestraszony jarząbek umie jednak bez najmniejszego szelestu zlecieć z drzewa, a urządza to w ten sposób, że ze złożonymi skrzydłami jak zabity z drzewa spada, by się jak najprędzej w krzakach ukryć. Lecąc stara się omijać zawsze miejsca otwarte, jak łąki i polanki; dyktuje mu to wrodzona ostrożność".

Jak wyżej zaznaczono, zimą jarząbki trzymają się parami — są to ptaki monogamiczne — lub pojedynczo. Niekiedy, wyjątkowo, spotyka się w tej porze roku niewielkie stadka, złożone z kilku sztuk. Są to ptaki młode, zwykle jednego lęgu, które dla tych czy innych powodów nie rozbiły się na pary.

Żerują bądź to na drzewach, bądź też na ziemi. Mianowicie, jeśli śniegi nie są zbyt głębokie wyszukują pod nimi jagód. Nocują na drzewach w możliwie największej gęstwinie; lecz przy wielkich mrozach, podobnie jak cietrzewie, nocują na ziemi, zagrzebane w śnieg.

Z początkiem marca, im dalej na północ, tym później zaczyna się okres godowy jarząbka, co SZWEDOW opisuje w sposób następujący: „I oto nadszedł kwiecień. Wiosna całkowicie wchodzi w swe prawa i przejawia swą potężną moc. Na płaszczyznach eksponowanych na słońce nie ma już śladów śniegu, w borach ogołociły się pobrzeża i burkliwie zaszumiały, bramowane lodowymi nawisami, rzeczki górskie. Przypiekające słonko przenika do najgłuchszych zakątków i wszędzie wywiera swój wpływ. Ożywiła się przyroda, ożywił się i świat pierzasty. Jarząbki zaszyły się w swe ulubione świerczyny, osiadły w głuszach, koło źródeł, gdzie biegają po pochyłościach, pojadając jagody. Połykają piasek i kamyczki, i znów oddalają się do swych osiedli. Tok ich jest w pełni.

„O pierwszym brzasku dnia budzi się zadzierżysty kogucik, z hałasem wzlatuje na świerk i nuci dyszkantem swą wdzięczną piosenkę. W głębi świerczyny odezwała się kurka i odzewem swym wprowadziła małżonka w nadzwyczajny zachwyt. Pośpiesznie spuszcza się on z drzewa na ziemię i, roztoczywszy wachlarzowato ogon, uniósłszy skrzydła, nastawiwszy czubek, cały nastroszony biegnie na głos samiczki. Nie natrafiwszy od razu na miejsce schadzki, zatrzymuje się i jeszcze raz się odzywa. Odpowiedź słychać bliżej, a i sama kurka przefrunęła z miejsca na miejsce. W tejże chwili samczyk z wielkim afektem głosi swój krótki trel, zrywa się i leci w kierunku głosu, spotyka samiczkę, po czym następuje deptanie. Po chwili oboje biegną razem, by połknąć kilka jagód. Potem rozłąka i znów od początku powtarza się, co wyżej opisano. Urozmaicenie następuje, gdy na scenie przypadkowo pojawi się rywal i spokojna akcja zostaje zakłócona przez zawziętą bójkę. Tak upływa cały ranek, po czym ptaki żerują, a wieczorem zaczyna się tokowanie i trwa do zmierzchu".

Tak więc tokowanie jarząbków to zupełnie coś innego niż tokowanie głuszców i cietrzewi. Coś podobnego ma u jarząbków miejsce raczej na jesieni. Wówczas to ptaki zaczynają się łączyć w pary, co LORENTZ opisuje w sposób następujący: „We wrześniu przy jasnej, pięknej pogodzie do dwudziestu jarząbków zbiera się na jakiejś polance w lesie. Samce roztaczają ogony, opuszczają skrzydła, wznoszą czubki i zalecają się do samic, wydając osobliwe trele. Takie zebrania trwają tak długo, dopóki każdy samiec nie dobierze sobie samicy. Następnie zebranie rozprasza się i samce żyją z samicami w parach aż do wiosny".

Wracając do sprawy wiosennych toków, to TACZANOWSKI opisuje je w sposób następujący: „W marcu zaczyna się wabić i właściwe sobie odbywać toki, odmienne zupełnie od głuszcowych, samce bowiem i samice wzajemnie się wabią cieniutkim, kilka razy powtarzanym gwizdaniem i biegną lub podlatują ku sobie; zbliżywszy się we dwoje, jakiś czas ze sobą przepędzają. Gwizdanie samca jest przeciąglejsze, kilka razy ucinane i modulowane, samicy gwizdnięcie pojedyncze, raz ucięte.

„Uganiając się w parze, samiec podnosi czubek, rozszerza ogon i wydaje głos krótki, szybko po sobie powtarzany: czyk-czyk-czyk... Głównie się wabią rankami i wieczorami, ustają w końcu maja. Młode znowu pod jesień, gdy się ze stadek rozbiją, podobnie się wabią i zbiegają po kilka. Łatwo ich głos naśladować na wabiku z kostki stosownie sporządzonym i sprowadzać do siebie jarząbki".

Według SOŁTANA „Najintensywniej wabią się jarząbki na jesieni między 1 a 20 września i na wiosnę między 20 marca a 10 kwietnia".

„Samica gnieździ się, pisze TACZANOWSKI, w końcu kwietnia lub w początku maja; na ten cel wygrzebuje dołek około 8 cali szeroki, a cztery głęboki, gdziekolwiek między gąszczem lub niczym nie zasłoniony, i wyściela go liśćmi i trawą. Jaj niesie 8—14 i te tak twardo wysiaduje, że się ręką brać z nich pozwala. Pisklęta wodzi dopóki do połowy nie podrosną, następnie rozbijają się ze stadek, lecz często się zwabiają. Najwcześniejsze są z gatunków krajowych, gdyż w połowie czerwca zwykle się już spore podloty spotyka".

Co się tyczy udziału samca w wychowaniu młodych, to zdania różnych badaczy są podzielone. Według jednych samiec nie bierze żadnego w tym udziału, według innych przyłącza się do wywodka wkrótce po wylęgnięciu się młodych i bierze równie żywy udział w ich prowadzaniu, jak samica.

Pożywienie jarząbka jest bardzo urozmaicone i ulega zmianie w różnych porach roku. Jesienią, zimą i wczesną wiosną żywią się jarząbki wyłącznie pokarmem roślinnym, a więc owocostanami brzóz i olch, pączkami różnych drzew liściastych i iglastych. Jesienią zjadają dużo jagód, jak również i zimą, o ile nie zalegną zbyt głębokie śniegi. W miarę następowania wiosny pokarm urozmaicają młode pędy i liście różnych roślin. Z chwilą wylęgnięcia się młodych, głównym ich pożywieniem są różne drobne zwierzęta, a przede wszystkim owady i ich larwy, drobne mięczaki itp. Latem, w miarę pojawiania się różnych jagód, młode jarząbki stopniowo, dodając do zwierzęcego pokarm roślinny, przechodzą na pożywienie czysto roślinne.

Jarząbek jest u nas ptakiem ginącym. Ptak ten nie znosi kultury leśnej. Dwie są przyczyny główne jego zanikania: 1) Brak urozmaiconego i w dostatecznej ilości znajdowanego pożywienia na skutek zamiany przestrzeni leśnej na plantacje świerka i sosny. 2) Regularne zręby, których rezultatem jest brak podszycia leśnego, brak drzew różnego wieku.

Dużą rolę gra też usuwanie z lasów zwałów.

Zarówno w lasach nizinnych, mianowicie na Polesiu, jak i w górach, stwierdziłem, że jarząbek trzyma się takich partyj lasu, w których znajduje pewną ilość zwalonych drzew. Koło takich starych, próchniejących, zupełnie wyschniętych drzew spotyka się jarząbka przede wszystkim. Gdy, chodząc po lesie, w którym są jarząbki, zobaczy się zwalone drzewa, można być pewnym spotkania w pobliżu jarząbka.

(dokończenie obok)

Dożywianie zwierzyny

Dożywianie zwierzyny jest bardzo poważnym zagadnieniem w łowiectwie. Po pierwsze, świadczy ono, że myśliwy nie jest wyłącznie mordercą niewinnych zwierząt, o co chętnie posądzają go przeciwnicy polowania, po wtóre, obfite pożywienie w rewirze przyczynia się do poprawy zwierzostanu i przywiązania go do miejsca, które zamieszkuje; wreszcie dokarmianie zwierzyny, w ubogich w paszę rewirach leśnych, współdziała z ochroną drzewostanów, szczególnie młodych upraw, które przy braku innego pożywienia są często atakowane przez zwierzynę płową, tj. przez jelenie i sarny, a również zające, szczególnie w czasie ostrych zim. Te względy wystarczają, żeby dołożyć starań, a nawet kosztów, które zresztą sowicie się opłacą.

Pytanie jednak, jak tego dokonać i jaki obrać najpraktyczniejszy system dożywiania?

Najbardziej zbliżonym do naturalnego sposobu żywienia się zwierzyny, a więc prawdopodobnie sposobem najlepszym, jest dokarmianie zwierzyny za pomocą odpowiednich upraw roślin pastewnych, pozostawionych na pniu na okres zimowych miesięcy.

W porównaniu z innym sposobem dożywiania w tzw. paśnikach, gdzie można zwierzynie służyć obfitą karmą, np. sianem, koniczyną, ziemniakami, burakami itd., wydaje się pierwszy sposób właściwszym, ponieważ karmienie w paśnikach naraża często zwierzynę na choroby. Zdarza się bowiem, że przy zmianie temperatury lub w niepogodę karma psuje się, gnije albo pleśnieje, następnie zaś, spożyta przez zwierzynę, wywołuje różne, czasem bardzo szkodliwe zaburzenia systemu trawiennego.

Poza tym dokarmianie w paśnikach jest wyraźnie droższe i kłopotliwsze, ze względu na potrzebę magazynowania karmy oraz ciągłego dowożenia jej do lasu. Ten sposób dokarmiania przyczynia się również do nadmiernego oswajania się zwierzyny z ludźmi, co ze względu chociażby na jej bezpieczeństwo, nie jest pożądane. Toteż przy wyborze metody dożywiania należało by bezspornie udzielić pierwszeństwa tej, która w bardziej naturalny sposób współdziała z przyrodą, dostarczając paszy w formie roślin bytujących w rewirach leśnych, albo w ich bliskości, i to takich, które chętnie są spożywane przez zwierzynę. Do tych roślin należą w pierwszym rzędzie bulwa, żarnowiec, łubin trwały, ożyny, poza tym jarmuż i kapusta pastewna, a wreszcie żyto zrębowe, siane wśród nowozakładanych upraw leśnych.

Cała rzecz w tym, że trzeba się raz zdecydować i wspomiane półka założyć; wiele z wymienionych roślin, jako przeważnie wieloletnie, przez dłuższy czas będą się odnawiały na tym samym miejscu oraz dostarczały nasion.

W lasach jest dużo przestrzeni dla tego rodzaju poletek. Można je zakładać na kolejowych pasach przeciwpożarowych, przy drogach leśnych i liniach oddziałowych, koło polan otwartych itd.

Istnieją jednak pewne trudności w szerszym rozpowszechnieniu tej działalności, a to z powodu braku większych ilości sadzonek i kłączy, a szczególnie nasion, których obecnie firmy z różnych przyczyn prawie nie produkują. To zaś, co można dostać w ilościach bardzo ograniczonych, jest tak drogie, że żadna kalkulacja nie opłacałaby się.

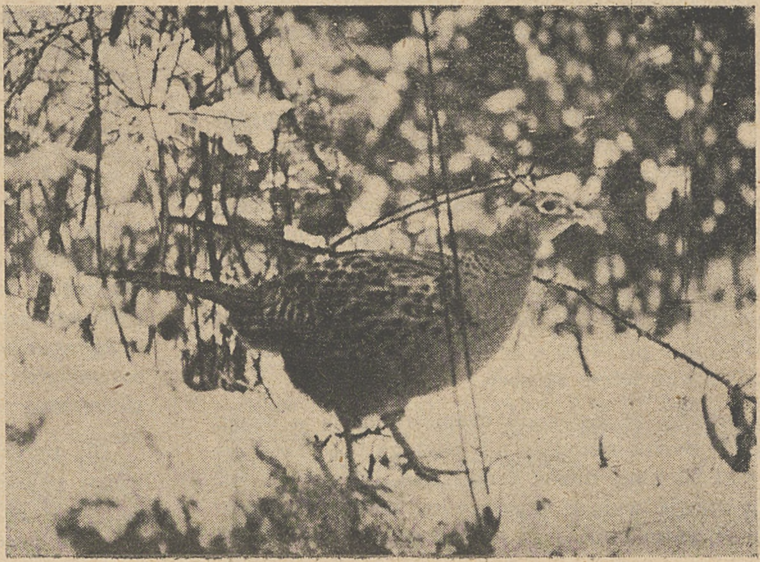
Było by bardzo pożądane, aby nasze organizacje łowieckie przyczyniły się do powstania takich rozmnażalni, które byłyby w stanie po umiarkowanych cenach i w ilościach potrzebnych dostarczać odpowiednich sadzonek kłączy i nasion dla naszych kółek łowieckich i ewentualnie dla nadleśnictw państwowych.

Rzecz nie jest nowością, gdyż na naszych terenach spotykamy tu i ówdzie resztki założonych upraw żarnowca, łubinu trwałego itd., jednak sprawa ta musi być bardziej spopularyzowana. Poza tym pożądane jest zdobycie większego doświadczenia w kierunku stwierdzenia, jakie rośliny są najchętniej spożywane przez poszczególne gatunki zwierzyny w różnych miejscowościach.

Można by zaryzykować twierdzenie, że wiele czynników odniosłoby korzyści z tej akcji, jak np. zwierzyna, lasy państwowe, myśliwi, spożywcy i wreszcie eksport, który choć w zaczątkach jeszcze, ale znajduje się na najlepszej drodze do pomyślnego rozwoju.

Tomasz Zan

Kura bażancia *fot. A. Wiśniewski*



„JARZĄBEK"

(dokończenie)

Na znacznych przestrzeniach Europy jarząbek zniknął właśnie dlatego, że las pierwotny został zmieniony na plantacje drzew, w których utrzymuje się odpowiedni porządek.

Utrzymuje się mniemanie, że jarząbek nie znosi sąsiedztwa człowieka, że wymaga zupełnej izolacji. Jest to mniemanie błędne. W Tatrach spotykałem jarząbki w bezpośrednim sąsiedztwie szosy, prowadzącej z Zakopanego do Morskiego Oka, ale zawsze w sąsiedztwie zwałów. Co więcej, spotykałem jarząbki nawet w reglach nad Zakopanem, bardzo niedaleko ścieżki. I tu i tam jest ożywiony ruch ludzki. To jednak jarząbkowi nie przeszkadza.

Janusz Domaniewski

Inż. EDWARD FRANKIEWICZ

Walka ze szkodni

Szkodnictwo łowieckie występuje w najrozmaitszych postaciach, znanych nie tylko myśliwym, lecz również ogółowi naszego społeczeństwa. Kłusownictwo, wnykarstwo, sidlarstwo, wyłapywanie młodzieży zwierzyny czworonożnej i skrzydlatej, wybieranie jaj ptasich, tępienie zwierzyny, szczególnie w okresie lęgów, przez wałęsające się psy i koty wiejskie — oto szeroki wachlarz przestępstw łowieckich.

Niestety, przestępstwa te nie spotykają się z należytym potępieniem nie tylko ze strony społeczeństwa, nie stykającego się bezpośrednio z łowiectwem, lecz nawet przez myśliwych naszych są w dużym stopniu lekceważone. Wprawdzie mówi się o zwalczaniu kłusownictwa i wnykarstwa, ale zarówno władze do tego powołane, jak i wielu myśliwych, traktują te wykroczenia przeciw łowiectwu raczej jako tylko zamach na prywatną własność. Tymczasem wszelkie przestępstwa łowieckie stały się szkodnictwem społecznym z chwilą, gdy łowiectwo uznano za gałąź gospodarstwa narodowego, będącego jednocześnie, łącznie z leśnictwem, najważniejszym czynnikiem w dziedzinie ochrony przyrody.

Niedocenianie szkód, wyrządzanych w łowiectwie bezpośrednio czy pośrednio przez człowieka, objawia się również w tym, że myśliwi przeważnie i bardzo chętnie zły stan zwierzyny na swoich terenach przypisują przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, dzikim drapieżcom. Jastrząb, lis, łasica i inne czworonogi i ptaki, posiadające kły lub zakrzywiony dziób i szpony — to są winowajcy pustych kniej i pól — zdaniem poważnej liczby myśliwych polskich.

Pogląd taki na rolę drapieżców jest spuścizną czasów, gdy człowiek po wytępieniu, względnie doprowadzeniu do granicy wytępienia szeregu gatunków zwierząt, zapragnął ratować resztki zwierzostanów przy pomocy gospodarczych zabiegów, opartych na teorii „poprawiania natury".

W czasach feudalnych, eksploatując bogactwa naturalne w sposób bezwzględny i krótkowzroczny, uspokajano swoje sumienie ślepą wiarą w ich niezniszczalność: „nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las" — mawiano z całą beztroską o przyszłość. W okresie rozwijającego się kapitalizmu uznano za konieczne gospodarcze wkroczenie człowieka w dziedzinę przyrody, nie poznawszy i nie zrozumiawszy jednak przed tym praw rządzących. Zaczęto dzielić świat zwierząt i roślin na „pożyteczne" i „szkodliwe". Oczywiście, zwierzęta drapieżne, jako swoich rywali przy zdobywaniu dziczyzny, człowiek zaliczył do grupy „szkodliwych". Do tego jeszcze zakorzeniło się wśród myśliwych uparte przeświadczenie o trudności a nawet niemożliwości wytępienia zwierząt drapieżnych, o jakiejś ich „cudownej" zdolności zachowania swego gatunku, pomimo największych prześladowań. Niestety, przykłady losu niedźwiedzia, żbika, rosomaka, sobola, norki, orła przedniego, sokoła wędrownego i innych, już u nas nieistniejących lub uznanych dziś za „pomniki przyrody", nic nie mówią ludziom, dla których świat przyrody i jego dzieje są obce.

Nie przeczę, że zwierzęta drapieżne mają w swym jadłospisie pewną mniejszą lub większą ilość zwierzyny łownej. Niektóre nawet drapieżniki, jak np. ryś, żywią się prawie wyłącznie zwierzyną łowną i to określonymi jej gatunkami. Jeśli jednak chodzi o większość drapieżników, zarówno czworonożnych, jak i skrzydlatych, szczególnie drobnych, do których również zaliczamy lisa, to twierdzę, że podstawowym ich pokarmem są wszelkiego rodzaju gryzonie, jak myszy, chomiki, wiewiórki itp.; twierdzę także, że jastrzębiowi smakuje nie tylko bażant lub kuropatwa, ale również wrona, gawron, kawka, sójka, wróbel i inne ptactwo niełowne. Poza tym mniejsze drapieżniki są pożerane przez większe, narówni ze zwierzętami roślinożernymi.

W okresie karmienia młodych lis chętniej poluje na gąski lub kury domowe niż na zwierzynę. Jednakże, podobnie, jak przy ogryzaniu przez zające drzew owocowych w sadach, winę za powstałe przez to szkody ponosi nie zając, lecz człowiek, który przez niedbalstwo lub lenistwo nie zabezpieczył należycie drzew, tak też w przypadku porywania ptactwa domowego przez lisy odpowiedzialność spada przede wszystkim na gospodynie, puszczające samopas swój ptasi inwentarz, zamiast trzymać drób w odpowiednich zagrodzeniach, jak tego wymagają zasady prawidłowej hodowli.

Gdyby zwierzęta drapieżne żywiły się, jak to twierdzą niektórzy, przeważnie zwierzyną łowną, gardząc wymienionymi przeze mnie gatunkami niełownymi, które przecież tylko w bardzo małej ilości są strzelane lub nawet wcale nie są strzelane przez myśliwych, to wówczas nasze lasy i niwy roiłyby się od ptactwa wroniego i wróbli, a myszy i chomiki pożarłyby plony naszych pól.

Wielu z nas zna tereny, gdzie prócz drapieżników, a przede wszystkim lisów, nie ma żadnej innej zwierzyny łownej. Powstaje pytanie, czym by się tam żywiły lisy, gdyby moje wywody nie były słuszne. Doświadczenia moje w gospodarce łowieckiej nie potwierdzają poglądu, że wytępienie lisów i innych drapieżników przyczynia się do znacznego wzrostu zwierzostanów zajęczych i kuropatwich. Natomiast przekonałem się wielokrotnie, zarówno przed wojną jak i obecnie, że usunięcie z łowiska lub unieszkodliwienie tylko jednego kłusownika, a szczególnie wnykarza, daje zaraz w pierwszym roku widoczną poprawę zwierzostanów. Jeżeli porównamy wyniki ilościowe jednodniowego polowania na terenie o średnim stanie zwierzyny drobnej — z wynikami jednorocznej działalności na tym obszarze kłusownika lub wnykarza, to stwierdzimy stanowczą przewagę na korzyść tych ostatnich.

Plon „sezonu łowieckiego" wnykarza lub kłusownika w łowisku leśnym, gdzie pokot na jednodniowym polowaniu wynosi 40 do 50 zajęcy i 4—5 lisów, nieraz przekracza te ilości. Muszę tu zwrócić uwagę, że „sezon" wnykarza lub sidlarza jest związany z okresem śniegów i dlatego w naszym kraju jest znacznie krótszy od „sezonu" kłusownika, natomiast obfitszy w łupy, co równoważy ostateczne wyniki roczne.

Dla przykładu podam kilka liczb, dotyczących wyników polowań z ostatnich lat w dwóch łowiskach leśnych. W jednym z nich o powierzchni 1.100 ha, obfitującym przed wojną i również w pierwszych latach

ctwem łowieckim

po wojnie w lisy, padło w roku 1947, przy opolowaniu 2/3 terenu, 21 zajęcy i 4 lisy, przy czym widziano w czasie polowania 10 lisów; w roku 1948 upolowano na tym samym terenie tylko 12 zajęcy i 2 lisy, przy 7 widzianych, w roku zaś bieżącym pokot wynosił zaledwie 7 zajęcy, lisów nie widziano wcale. W łowisku tym od dwóch i pół lat znajduje się kłusownik i wnykarz w jednej osobie, którego, dzierżawiącemu ten teren kółku myśliwskiemu, niestety, nie udało się dotychczas usunąć. W drugim łowisku o powierzchni ok. 500 ha padły w tym roku na polowaniu w 8 strzelb 43 zające i 4 lisy, przy 7 widzianych. Na wiosnę roku ubiegłego unieszkodliwiono w tym leśnictwie kłusownika, który zeszłej zimy oddał do garbarni 19 lisów, zdobytych na wymienionym terenie. Nadmienię, że polowania w tym łowisku w latach ubiegłych dawały wyniki bardzo słabe, nie przekraczające tuzina zajęcy, ów zaś osobnik, polując tam od 1945 r., zabijał, prócz zajęcy, po kilkanaście lisów rocznie przy przynęcie z padliny. Przykładów podobnych mógłbym podać co najmniej kilkanaście.

Zastanawiałem się także, co było istotną przyczyną wzrostu zwierzostanów w niektórych majątkach prywatnych z okresu przedwojennego, gdzie straż łowiecka miała nakazane tępienie wszelkich drapieżników. Niektórzy przypisywali wysoki poziom ilościowy zwierzyny tych łowisk właśnie usunięciu z nich zwierząt drapieżnych. Po bliższym zapoznaniu się ze statystyką ubijanych przez strzelców i administrację drapieżników w jednym z takich majątków, przekonałem się, że ze względu na wartość futerka lisy strzelano tam tylko w zimie i ubijano ich około 50 w sezonie. Potwierdza to moje przeświadczenie, że nie tępienie drapieżników dzikich, lecz wzmożona ochrona przed kłusownictwem i wnykarstwem, tępienie wałęsających się psów i kotów oraz spokój w łowisku, gdyż wypas bydła tam był zakazany, przyczyniały się do wspaniałych wyników hodowlanych.

Omawiając zagadnienie szkodnictwa łowieckiego pragnę zastanowić się nad przyczynami warunkującymi jego istnienie. Kłusownictwo, jako nielegalne uprawianie łowów, powstało w czasach, gdy myślistwo było przywilejem możnych i istniało ono u nas aż do wojny, gdyż otrzymanie karty łowieckiej nie dla każdego obywatela było dostępne. Dziś wobec zupełnego zdemokratyzowania i upowszechnienia łowiectwa znikła naturalna przyczyna, zmuszająca niektórych obywateli do zaspokajanie atawistycznej namiętności łowieckiej w drodze nielegalnej. Tym samym znikł typ przedwojennego kłusownika. Istotnie, poza pojedynczymi przypadkami, a zdarzającymi się już coraz rzadziej, wykonywania polowania bez posiadania do tego przepisowych uprawnień albo przez osoby, którym władze bezpieczeństwa odmówiły pozwolenia na broń, albo czasem nawet przez funkcjonariuszów państwowych, powołanych właśnie do ścigania przestępstw łowieckich, kłusownictwo w postaci dawniejszej nie istnieje. Istnieje natomiast kłusownictwo legalne, wynikające z nieuświadomienia, z braku kultury łowieckiej i braku uspołecznienia naszych myśliwych. Wielu bowiem członków PZŁ zbyt często popełnia wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu i etyce nas obowiązującej.



Lis *fot. W. Puchalski*

Musimy wypowiedzieć stanowczą walkę tego rodzaju kłusownictwu przez wymierzanie zarówno wysokich kar, przewidzianych statutem organizacyjnym PZŁ, jak i przez dokształcanie członków społeczności myśliwskiej w ramach kółek łowieckich. Również zwalczanie innych przestępstw łowieckich, jak wnykarstwa, sidlarstwa i bezmyślnego tępienia zwierzyny przez dziatwę wiejską, powinno iść dwiema drogami: przez stosowanie kar i przez uświadamianie ogółu społeczeństwa, szczególnie ludności wiejskiej, zarówno starszych jak i młodzieży. Radio, film, prasa, literatura, odczyty i pogadanki w ramach pracy świetlicowej i w szkołach — wszystkie te środki powinny być wykorzystane do tego celu. Wierni słowom „Testamentu" Juliusza Słowackiego „niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec" ci, którzy posiadają większą wiedzę i wyższą kulturę, niech dzielą się tymi skarbami z tymi, którzy nie ze swej winy ich dotychczas nie posiadali.

Wkroczyliśmy w sześcioletni okres przebudowy gospodarczej naszego kraju. W okresie tym musimy przebudować również nasze łowiectwo w oparciu o nowe prawo łowieckie, którego uchwalenia przez Sejm spodziewamy się

Koledzy myśliwi! wzywam Was na front walki ze szkodnictwem łowieckim, jako szkodnictwem **gospodarczym** i szkodnictwem **społecznym.**

Inż. Edward Frankiewicz

MIECZYSŁAW KRASNODĘBSKI

NASZ PIERWSZY DZIK

Luty 1949 r.; ostatnie polowanie na dziki w tym sezonie już za nami. Siedzimy z bratem przy herbatce, dzieląc się wrażeniami. Do odejścia pociągu z Iławy do Gdańska jeszcze dwie godziny czasu; sumujemy nasze zdobycze; mamy w tym powojennym okresie w rejestrze po pięć sztuk dzików.

— A czy pamiętasz naszego pierwszego „odyńca"? — pyta Jurek.

— No, jakże nie miałbym pamiętać!

Koniec czerwca 1933 r., pogoda dopisuje, puszczańskie bagna podeschły na tyle, że można swobodnie kopać wjuny (piskorze). Jest to nasz najnowszy pomysł zaspokajania łowieckich namiętności.

Po ostatnim naszym tegorocznym polowaniu wiosennym na cietrzewie Jurek wygoił swoją szyję, co prawda pozostały pod skórą jeszcze trzy śruty, a ja doprowadziłem do stanu używalności mocno sfatygowaną, na skutek interwencji Ojca, pewną część ciała.

Ponieważ rynsztunek „kopacza wjónów" składa się ze starej szufli, z obciętym do połowy trzonkiem, worka na rzemyku na wjuny i starych drelichowych majtek, a Ojciec zezwolił na ten nowy rodzaj sportu, więc kopiemy wjuny z całą namiętnością na okolicznych białowieskich bagnach.

Dziś wybieramy się z samego rana na dalszą wycieczkę na Perewołokę. Trasa — Lackowska kolejka, odległość około 6 km, trochę daleko, ale idziemy we trzech: ja, Jurek i Stasiek Zieliniak, czternastoletni dryblas o małym sercu zająca, bojący się panicznie duchów i wszelkich rzeczy nadprzyrodzonych. Mijamy „Pekin" i idziemy Lackowską kolejką. Jurek posiada wybitne zdolności odkrywcze: po kwadransie drogi zwraca naszą uwagę na nasyp kolejki, na którym rzeczywiście widać dość świeżo odciśnięty ślad kół wagonetki. Rozpoczynamy poszukiwania w pobliskich krzakach; po paru chwilach Jurek sygnalizuje znalezienie wagonetki, ja trafiam na kije do popychania.

Nie zastanawiamy się długo, taszczymy wagonetkę na szyny, ładujemy się na nią i dalej w drogę! Co za przyjemność jechać sobie wygodnie wąskim tunelem z dziesięcioletnich sosen. Nieocenionym towarzyszem okazuje się Stasiek, jego długie i silne ręce sprawnie popychają kijem wagonetkę, ma tylko drobne zastrzeżenie, czy aby kto nie zamówił wagonetki, „bo może się nieszczęście zdarzyć". Cudny dzień, słońce już dobrze podgrzewa i tak przyjemnie pachnie wilgotnym lasem.

Dojeżdżamy do 514 oddziału, jest pod górę, schodzimy z wagonetki i popychamy, pocieszając się, że byle do zakrętu a tam już będzie z góry. Brak nam jeszcze do zakrętu około stu metrów, gdy wtem z za niego wyłania się parowozik w pełnym biegu, gwiżdżąc przeraźliwie. Dosłownie w ostatnim momencie kantujemy z Jurkiem wagonetkę na nasyp, Stasiek naturalnie od razu dał dęba w las. Odskakujemy na bok. Koło nas przewala się cały zestaw z klocami, kolebiąc się i jęcząc łańcuchami łącznikowymi. Wciągamy więc wagonetkę na tor, ale Stasiek w żaden sposób nie daje się namówić na dalszą jazdę, poszedł do zakretu zobaczyć czy trasa jest wolna. Dopychamy wagonetkę do zakrętu, wreszcie po długich targach wsiadamy i szybko zjeżdżamy w dół. Jedziemy już wysokopiennym olchowo-świerkowym lasem, po obu stronach bagno, jest mroczno i chłodno, silnie pachnie bagnem. Wjeżdżamy na polanę, której środkiem płynie rzeczka Perewołoka; ma ona do dwóch metrów szerokości i do pół m wody; głębiej jest błoto. Wagonetkę chowamy w łozach, skrzętnie zasypując ślady jej kół na nasypie.

Po krótkiej naradzie ruszamy wzdłuż Perewołoki w górę w poszukiwaniu dogodnych miejsc dla kopania wjunów. Po kilometrowym marszu dochodzimy do przekonania, że nic z tego, nad Perewołoką nie można kopać wjunów, bo jeszcze nie wyschła, wobec tego przeprawiamy się na drugą stronę po zwalonej olszy, kierujemy się na Żurawie Uroczysko, przechodzimy przez polanę i zagłębiamy się w las. Wchodzimy na suchy, wzniesiony teren, drzewostan słaby, sosna i młode brzozy. Jurek zauważył dziczą ścieżkę, zatrzymujemy się i badamy ją. Stasiek od razu decyduje, że szedł tędy na pewno „Krywonosy". Jakkolwiek jego twierdzenie jest wyssane z palca, robi się nam nieprzyjemnie, przychodzi na myśl całe zajście Semena Rubla z „Krywonosym". Przed tygodniem gdzieś w tej okolicy gajowy Rubel wygarnął ze swej, jak zwykł mawiać, „żwirówki" do dzika. Miał być to, według jego relacji, sam „Krywonosy". Dzik po strzale ruszył na niego, Rubel nie czekał na skutek, ale podwinąwszy pod siebie nogi zmykał bez pamięci, aż wreszcie na jakimś korzeniu potknął się i padając złamał sobie nogę w goleniu i dopiero przed wieczorem doczołgał się do kolejki,

---

JÓZEK HANAK

Znajomy dzik

Jako emeryt, po blisko półwiekowej pracy zawodowej, przechodzę dziś myślą dawne czasy i różne wspomnienia myśliwskie, spośród których jednym niezwykłym zdarzeniem chcę się podzielić z przyjaciółmi i czytelnikami Łowca Polskiego.

Tuż po pierwszej wojnie światowej dziki rozmnożyły się (jak obecnie i po drugiej wojnie) do tego stopnia, że dosyć poważnie zagrażały egzystencji drobnych rolników, szczególnie na gruntach wśród lasów położonych, niszcząc plony rolne. Dziki dawały się spostrzegać ludności wiejskiej w biały dzień, gdy przebiegały stadami pomiędzy chałupy, z jednych lasów do drugich, a już nie należało do rzadkości spotkać się z nimi w lesie, wałęsające się i hakujące mchy i ściółkę.

Zdarzyło się mi — a było to pod koniec 1918 roku — będąc w leśnictwie Pogwizdów, spotkać pojedyńczego dzika w drzewostanie 50-letnim dębowo-jodłowym, tak zajętego swą pilną robotą hakowania rumowiska leśnego, że nie zachowywał wcale ostrożności. Zaczajony za grubszym drzewem, czekałem na zbliżenie się zwierza, gdyż kurs jego był w moim kierunku, a przypuściwszy go na około 50 kroków, wypaliłem, mierząc w łeb, na kulawy sztych z lewego boku. Dzik w ogniu się zwalił.

Naładowawszy kulą strzelbę, będąc gotowy do strzału w razie potrzeby, przybliżam się do dzika, leżącego na prawym boku i drgającego w przedśmiertelnych konwulsjach, stwierdzam. że kula uderzyła go w lewe ucho, z którego sączyła się farba. — No. ten już nie potrzebuje drugiej kuli — pomyślałem, a zabezpieczywszy strzelbę, oparłem ją o drzewo i oglądam zwierza szczegółowo.

Był to odyniec, a że zasadniczą czynnością jest, by po ubiciu odyńca, natychmiast go wykastrować zanim zwierz ostygnie, gdyż, gdyby tego zaniechano, mięso nabrałoby wstrętnego odoru — zabieram się więc zaraz do tej operacji. Wyciąwszy myśliwskim nożem jądra, usadłem obok pod drzewem. planując zabranie dzika, po którego trzeba zajechać wozem.

Po kilku minutach spostrzegam, że dzik się porusza, potem parska, fuka, skokami wierzga... — Kończy już — pomyślałem. gdy wtem dzik się zrywa, a zataczając się jak pijany, uderza sobą to o jedno, to o drugie drzewo, wreszcie rzuca się do ucieczki — ucieka...

Porwałem za strzelbę — strzeliłem za nim dwa razy — nie pomogło... chybiłem. Dzik poszedł... Idę za farbą, którą znajduję na mchu i ściółce, później już i farby nie spostrze-

gdzie go znaleziono; teraz leży z ogipsowaną nogą.

Naturalnie wizja przeprawy Rubla z „Krywonosym" nie dodaje nam otuchy, Jurek zaczyna się pocić, Stachowi drżą ręce, po moim grzbiecie pędzą w pełnym galopie całe tabuny mrówek, ale jednocześnie ze strachem potęguje się we mnie uczucie ciekawości, żeby choć raz bodaj na moment zobaczyć osławionego „Krywonosa".

Decyduję więc, że będziemy w dalszym ciągu posuwali się po dziczej ścieżce; Jurek waha się, Staszek oponuje, chce wracać, wysuwam argument: — jeżeli chcesz wracać to najprędzej spotkasz się z „Krywonosym", bo on lubi zachodzić z tyłu. To skutkuje, ruszamy ostrożnie naprzód, po przejściu kilkuset kroków wchodzimy w gęstszą kępę brzóz. W lesie zrobiło się jakoś dziwnie nieprzyjemnie, cicho i ciemno. Jurek idzie tuż za mną, mijamy prawie kępę brzóz, wtem brzmi mi nad uchem krzyk Jurka — dzik!

Stasiek natychmiast gramoli się na najbliższą brzozę, Jurek rejteruje za nim, ja chwilę wytrzymuje, zaglądam w oddalony ode mnie o dwa — trzy kroki dół i widzę dzika. Natychmiast zaczyna mi on rosnąć w oczach; widzę już wyraźnie ten straszny garb na gwiździe. W następnej sekundzie jestem już na połowie najbliższej brzozy. Stach drze się na cały głos „ratunku — mamo"! Jurek półgłosem skamli „co będzie? co będzie?", ja dygocę i z całej siły przyciskam się do brzozy, jednocześnie kątem oka sonduję czeluść dołu, ale ponieważ nic się nie dzieje, powoli zaczynam się uspakać. Po chwili śmiało zaglądam z wysokości brzozy do dołu. Tak! ale grubo mniejszy niż mi się zdawało i wcale nie wygląda na „Krywonosa", przy tym jama jest dość głęboka.

Decyduję się i schodzę, towarzysze zamilkli, podchodzę ostrożnie do dołu: jest, siedzi na zadzie, taki sobie wycinek i błyska kłami, fukając. Wołam na tych z drzewa, tłumacząc, że jest to tylko mały dzik, wreszcie Jurek schodzi i taksując okiem znawcy oświadcza, że jest to na pewno syn „Krywonosa".

Oświadczenie to wywołuje nową falę dźwięków u Stacha: krzyczę by uspokoił się, nie pomaga, mówię więc spokojnie: „jeżeli się nie uspokoisz, to strząśniemy ciebie z brzozy". Skutkuje, Stach milknie natychmiast, my z Jurkiem wracamy rozumować. Jama jest specjalnie wykopana i nawet są ślady, że była zamaskowana, pewno wykopał ją Rubel na „Krywonosa", a wpadł mały dzik; musimy więc upolować go i wyciągnąć.

Na szczęście do Żurawiego Uroczyska jest stąd nie więcej jak pół km, a swego czasu mieliśmy okazję podpatrzyć, jak Rubel chował ucięty karabin w zmurszałą olszę na błocie. Posyłam więc Jurka, aby odszukał i przyniósł karabin, sam tymczasem dokładnie badam plac boju. Stach siedzi jak zaklęty na brzozie i nie ma siły, która by mogła go zdjąć stamtąd. Po niedługim czasie wraca triumfalnie Jurek z obciętym karabinem i trzema kulami.

Oglądam fachowo tę precyzyjną broń, wyciągam korek z obciętej lufy, patykiem i kawałkiem chustki do nosa wypycham z lufy wazelinę, wprowadzam do komory kulę przyjmuję postawę zasadniczą. Dzik siedzi jak zaklęty, nawet Stach uspokoił się i choć siedzi na brzozie, bierze słowny udział w tych przygotowaniach.

Podchodzę jeszcze krok do dołu, przyciskam zredukowaną kolbę do ramienia i mierzę, ale idzie to jakoś niezręcznie, przy tym mam obawę, czy ta precyzyjna broń przypadkiem nie wypali w przeciwną stronę.

Pociągam za spust, strzał, szarpnięcie i straszny kwik. Stach spadł z wrażenia z brzozy, Jurek schował się za drzewo, a dzik miota się jak oszalały po jamie. Natychmiast wprowadzam następny nabój do lufy i zaczynam mierzyć, ale w żaden sposób nie mogę wziąć dzika na muszkę, przy tym kwik zaczyna mnie naprawdę denerwować, przez głowę przelatuje straszna myśl, że go nie będę mógł dobić. Wreszcie strzelam na oślep, huk... i cisza jak nożem uciął, dzik przestał kwiczeć, jeszcze tylko rusza się w drgawkach. Prostuję się, na duszę spływa przyjemne uczucie błogości, las sta-

„Przy wodopoju" *rys. L. Maciąg*



gam. Szukam aż do zmroku — nie znalazłem... Nazajutrz zwołuję czterech swoich gajowych, szukamy wspólnie cały dzień, przeszukaliśmy wszystkie zakamarki kniei w całym leśnictwie... nie znaleźliśmy... Dzik przepadł...

Zrozpaczony zachodzę w głowę nie znajduję logicznego rozwiązania tego przykrego wypadku: by dzik strzelony w łeb, na mózg i wykastrowany mógł ujść?! Niesłychane! Nie do uwierzenia!

W dalszym ciągu rozmyślania tej niesamowitej dziczej afery, doszedłem do przypuszczenia, że któryś z gajowych jest nieuczciwy, ale który? Wszyscy pracowali ze mną od szeregu lat, poznałem ich dobrze, nie miałem do żadnego z nich pod względem uczciwości żadnych zastrzeżeń — a jednak...

Wśród zajęć swego zawodu długo łamałem sobie głowę nad wynalezieniem klucza tej zagadki. Ale upłynęło sporo czasu, zagadki nie rozwiązałem, wreszcie przestałem się nią zajmować. Po 2 latach od opisanego wyżej zajścia z dzikiem przeniesiono mnie służbowo (w 1920 r.) do leśnictwa Łąka. Lasy wspomnianego leśnictwa, stykające się z sąsiednimi lasami Wysokiej, Zaczernia, Przewrotnego i Nienadówki, tworzą obszerny kompleks na południowej granicy dawniejszej Puszczy Sandomierskiej, a są matecznikiem rojącym się od stad dziczych, z którymi się tam łatwo spotkać na zasiadkę wieczorem, gdy dziki na żer wyruszają lub świtaniem, gdy wracają do kniei.

Pewnego razu, jesienią, wspomnianego roku, wyszedłem wczesnym świtem w stronę grupy dębów rosnących w pewnym oddziale, a obfitujących wówczas w żołędzie, którymi dziki delektowały się całymi nocami. Podchodząc, z daleka już usłyszałem głośne mlaskanie dzików, gryzących żołędzie, a że miałem pomyślny wiatr ciągnący od strony dzików, uspokojony, że mię nie zwietrzą, posuwam się bliżej wśród chrzęstu gryzionych żołędzi i rzadkiego pomruku dzików.

Przyczołgałem się najostrożniej pod gęsty krzak świerkowy, pod którym leżąc, czekałem na rozjaśnienie się świtu, gdyż w mroku widziałem tylko czarne, wolno poruszające się sylwety dzików. Gdy się już nieco rozwidniło, mogłem je już policzyć: żerowało 19 sztuk różnej wielkości. Przeczekałem jeszcze chwilę ,a gdym ujrzał już muszkę na lufach strzelby, wybrałem na cel lepszą sztukę i mierząc na komorę, wypaliłem. Huk strzału rozległ się tysiącznym echem po leśie, dzki z hukiem, fukiem i łomotem chrustu momentalnie zniknęły w przyległej kniei, pozostawiając na miejscu żerowiska towarzysza, który po kilku wierzgnięciach skokami uspokoił się, gdyż, jak się okazało, kula przeszyła mu serce.

Oglądam: odyniec! Zabieram się zaraz do wiadomej operacji, aż tu spostrzegam — w miejscu jąder na skórze dwie podłużne duże blizny. Jąder nie ma. Błyskawicznie przyszła mi myśl, że jest to ten sam dzik, którego przed dwoma laty okastrowałem

je się naraz wesoły, słońce od razu jaśniej zaświeciło.

Jurek jest już przy mnie i decyduje, że dzik jest już gotów, trzeba go prędzej wydostać i wypatroszyć, bo ciepło. Stach siedzi skulony, zmartwiały pod brzozą, ze strachu i emocji znieruchomiał i zaniemówił, nie mógł już nawet z powrotem wleźć na brzozę, tarmosimy go i tłumaczymy, że już po wszystkim. Wreszcie wstaje, uśmiecha się głupkowato i pyta, czy naprawdę jest już zabity.

„Też! — oświadczam wyniośle — czy sądzisz, że jestem aż tak marnym strzelcem".

To go uspokaja, wraca wesoły nastrój, Stach robi mądrą minę i stwierdza, że on od samego początku radził, by go zabić. No, ale nie czas na dysputę, podchodzimy do dołu i zaczynamy medytować w jaki sposób mamy go wydostać.

Ktoś z nas musi wleźć do dołu, ale chętnych brak.

Naraz brzeg dołu usuwa się nam z pod nóg i wszyscy trzej od razu lądujemy na dnie dołu. Stach wrzasnął „ratunku!" i chwycił mnie za nogę. Momentalnie opanował nas paniczny strach, rzuciłem karabin, Jurek w mgnieniu oka wlazł na Stacha i wyskoczył z dołu, ja za nim wyprysnąłem i rwiemy z kopyta co sił w nogach, w las; w dole został Stach, wyjąc jak oszalały ze strachu.

Po dobrej stumetrówce zatrzymujemy się, popatrzyliśmy na siebie i ryknęliśmy śmiechem: przecież dzik jest martwy.

Wracamy z powrotem do jamy, ja odważnie wskakuję do środka, to momentalnie upokaja Stacha; humor i wesołość znów wracają. Jurek wrzuca nam parę kijów, powoli podnosimy dzika, opierając go o ścianę, Jurek chwyta za tylną nogę, podpieramy go z dołu kijami, jeszcze jeden wysiłek i dzik jest na wierzchu. Windujemy się z jamy, odciągamy dzika na bok i oglądamy w pełnym świetle. Jest to wcale ładny wycinek o wadze około 60 kg, widać wyraźnie szabelki i fajki, suknię ma rudą i dość spory chyb, naturalnie garbu na gwiździe nie ma. Ma przestrzelony łeb tuż koło ucha i prawą tylną szynkę, najprawdopodobniej pierwszy mój strzał.

Finką rozcinamy mu brzuch, czyścimy, patroszymy; serce, płuca i wątroba wędrują do torby zamiast wjunów, a dzika napychamy gałęziami świerkowymi i pokrzywą.

Jurek odnosi na Żurawie Uroczysko karabin. Robimy prowizoryczne nosze z dwóch kijów i niesiemy dzika w stronę kolejki. Ale sprawa nie jest wcale tak prosta: odpoczywamy co kilkanaście kroków, transport do wagonetki trwa do wieczora, umęczyliśmy się porządnie. Odpoczywamy, ładujemy dzika na wagonetkę i wieziemy na Grudki do domu. Jest już wieczór.

Jesteśmy bardzo dumni i szczęśliwi z tej pierwszej grubej zdobyczy, tym bardziej, że ja już mam skończonych 12 lat, no i Jurek też liczy sobie 8 wiosen.

M. Krasnodębski

Z POW. BIELSKO - ŚLĄSKIEGO

Koło Myśliwskie w Strumieniu, powstałe w 1947 r. i liczące 10 członków, zorganizowało w sezonie 1949 r. trzy polowania zbiorowe, na których opolowano 1300 ha pól, zdobywając 130 zajęcy. Na Walnym Zgromadzeniu Koła dokonano zbiórki ofiar i zebrane 1.600 zł przekazano na Fundusz Odbudowy Stolicy.

w Pogwizdowie, co potwierdziła również blizna od kuli w lewym uchu.

Tu dopiero rozwiązałem zagadkę sprzed dwóch lat: „zmartwychwstanie" i zniknięcie dzika. Kula ołowiana okrągła, kalibru 16 mm. przebiła wówczas ucho dzika, a odbiwszy się od czaszki rykoszetem, nie uszkodziła mózgu, tylko ogłuszyła go do tego stopnia, że zwierz utracił przytomność przez czas opisanej operacji, a gdy czas „narkozy" minął, ocknął się, ja zaś strzelając za nim w zdenerwowaniu — chybiłem i dzik uszedł..

Ten dziwny zbieg wypadków i okoliczności zrządził, że po dwóch latach spotkałem tego samego dzika, który dzięki kastracji był niezwykle tłusty, o słoninie 5 cm grubej, a ważył 300 kg. Znalezione w nim cztery kule, zarośnięte w różnych częściach ciała, świadczyły, iż w swym życiu koczowniczym przechodził szereg różnych przygód i z niejednej strzelby zbierał i nosił „podarunki"...

A co za różnorodność kul: hacel od podkowy i siekaniec żelazny wielkości naparstka pochodziły ze strzelby kłusownika i z podobnej strzelby pochodziła również kula ołowiana nieforemnie sklepana; była tylko jedna kula kalibru 8 mm ekspansywna, do połowy niklową blaszką opancerzona (spłaszczona w kształcie grzybka, zarośnięta w szynce), która pochodziła ze sztucera myśliwskiego.

Rozwiązawszy zagadkę, nad którą głowiłem się przed dwa lata, rehabilituję tym samym w swym sumieniu gajowych, których posądziłem niesłusznie, jak się okazało, o kradzież dzika.

Wyciągając ten wypadek z „lamusa wspomnień" podkreślam, iż nie należy go zaliczać do „myśliwskiej łaciny" — gdyż jest faktem. Niezwykłość zaś tego zdarzenia skłoniła mnie do podzielenia się nim z młodszą bracią z pod sztandaru Sw. Huberta, bo tylko jemu przypisuję kierowanie mymi krokami ku rozwiązaniu niezwykłej zagadki w spotkaniu się ze „znajomym dzikiem".

Józef Hanak

WŁADYSŁAW FAFIŃSKI

Stu

Gwarnie wracaliśmy z zebrania kółka łowieckiego, na którym omawiano w szczegółach, mające się odbyć dwudniowe polowanie. Przyczyna naszego ożywienia była niepoślednia, bo przecież, jak to słusznie zauważył Włodek D., nareszcie będziemy mieli pierwsze polowanie studenckie.

Po dość długich pertraktacjach kolegi Jurka C., kierownika wydziału łowieckiego przy Kole Studentów Leśników UP, z odpowiednimi czynnikami, doszło do skutku pierwsze polowanie studenckie. Cieszyliśmy się z tego wszyscy niezmiernie. Bo chociaż każdy z nas miał poza sobą niejedno już polowanie czy przygodę myśliwską, byliśmy mimo tego podnieceni tą myślą, że kilka dni spędzimy pierwszy raz wspólnie, w koleżeńskim gronie, wraz z naszymi wykładowcami dwa dni w kniei.

Ostatnie dni przed wyjazdem były dla nas dniami gorączkowych przygotowywań. Trzeba było załatwić ostatecznie formalności z nadleśnictwami, w których mieliśmy polować, postarać się o auto, zaopatrzyć w amunicję i różne inne akcesoria. Poza tym kilku z nas, nie mając broni przy sobie w Poznaniu, musiało przywieźć ją z domu. Pod tym względem niemałego wyczynu dokonał kol. Adam K., który w ciągu półtorej doby potrafił przywieźć aż z Gdyni swoją strzelbę. Czego nie robi się dla myślistwa!

Wreszcie wszystko było przygotowane. Tylko jedna pogoda nie dopisywała. Padający od kilku dni deszcz nie nastrajał nas szczególnie dodatnio. Wprawdzie inż. G. twierdził, że na nasz dwudniowy wyjazd pogoda dopisze w całej pełni, nie spodziewaliśmy się jednak tak nagłej jej poprawy. W ostatnim dniu przed polowaniem, wszyscy zainteresowani jakże często spoglądali przez okna sal wykładowych na niebo, dopatrując się chciwie chociaż częściowego wyjaśnienia. Szare chmury, ciągnące z zachodu uporczywie, kryły jednak poza sobą upragnione przez nas słońce, nie pozwalając mu przedrzeć się ku ziemi. Późnym wieczorem świeciły ulice lustrzanymi kałużami, po których pluskały wciąż krople deszczu.

Ostry terkot budzika. Czwarta godzina rano. Pierwszy rzut oka przez okno — nie pada! Wszelkie złe przeczucia pierzchnęły w jednej chwili. O piątej już, wesoło witając się, zbieraliśmy się wszyscy na punkcie zbornym. Nastrój nasz zmienił się jednak, gdy Jurek C. zakomunikował nam, że p. Profesor i p. dr G. w ostatniej chwili, wczoraj wieczorem odwołali swój udział w polowaniu z powodu ważnych spraw służbowych, niepozwalających im na wyjazd. Tak chętnie chcieliśmy pierwszy raz zapolować z p. Profesorem—

denckie polowanie

wykładowcą łowiectwa i myśliwym tej miary, jak p. dr G. Nie zostaliśmy jednak sami.

Na zbiórkę stawili się punktualnie p. dr K. i p. inż. G., doświadczeni myśliwi, będący dla nas wzorem etycznych i prawych myśliwych. Oni więc objęli patronat nad naszą wyprawą. Wyjechaliśmy rychło, punktualnie o godzinie 5.30, gdyż droga przed nami była daleka. Cel naszej podróży, to nadleśnictwo R. Narazie każdy z kolegów, siedząc na swoim miejscu, rozmyślał o oczekujących go łowach. Monotonny warkot „Fiata“ sprzyjał takiemu nastrojowi. Ciszę tą przerwał jednak p. inż. G., intonując hymn myśliwski. Kilkanaście piersi zgodnie podchwyciło go i zagrzmiała stara myśliwska pieśń naszych ojców — „Hej, hej do kniej!“.

Żywszy nastrój wstąpił w nasze serca. Senne rozmyślania uleciały w jednej chwili. Zapomnieliśmy o codziennych troskach, nawet o egzaminach, mając tylko jedno na uwadze — czeka nas uciecha w kniei — łowy. Na ten temat potoczyła się więc rozmowa, przeplatana pieśniami, wierszami i opowiadaniami myśliwskimi. Około stukilometrowa trasa minęła nam więc szybko. Przed ósmą godziną zatrzymaliśmy się na krótko w Trzciance, by rozgrzać się gorącą herbatą. Krótko po ósmej byliśmy już na miejscu.

Gwarnie witamy się z personelem nadleśnictwa R. Raźnie kręcą się i podskakują psy dzikarze. Nie chcąc niepotrzebnie tracić czasu, udajemy się zaraz do lasu. Miejscowy leśniczy prowadzi nas na pierwsze stanowiska. Po chwili rozbrzmiewa po lesie głos trąbki myśliwskiej, to Hipolit Ł. daje znak nagance, by ruszyła w miot. Raźniej bije serce, wzrok wnikliwie wdziera się w każdy zakamarek gąszczu leśnego, do którego tylko może dobrnąć, ucho łowi każdy szmer dochodzący z miotu.

Gdzieś na skrzydle padają pierwsze strzały — zwierz już ruszony. Dzień emocji i przygód rozpoczął się. Kilka miotów i pierwszy zwierz leży już na pokocie. Głównie są to zające, tylko Jurek C. ma lisa. Nieźle zaczyna od samego rana. Niedługo jednak wodzi on rej wśród nas. Imienik jego Jurek D. strzela w piątym miocie niezłego wycinka. Nastrój wzmaga się. Wszyscy cieszą się, że polowanie już „okraszone“, bo przecież na rozkładzie jest już pierwszy dzik. Dumnie zatyka sobie za czapkę rozpromieniony Jurek gałązkę złomu, podaną mu wraz z gratulacjami przez inż. G. Gratulują mu też wszyscy koledzy. Słusznie mu się to należy, bo pięknie strzelił gonionego przez psy dzika.

W następnych miotach padają tylko zające. Dwa lisy przechodzą przez linię spudłowane przez Janka B. i Władka F. Dzików jednak, mimo dość licznych tropów, nie możemy spotkać. Dopiero po obiedzie przerywa się na tyły miotu niestrzelana wataha. Zbyt daleko miał ją na strzał Ździch. Po kilku miotach znów słychać donośny oszczek psów w młodniku. Oddala się gdzieś na skrzydło. Padają trzy kolejne strzały. Okazuje się, że tym razem leśniczy p. D. posłał śmiertelną kulę dzikowi. Jest więc drugi gruby zwierz na rozkładzie.

Szarzeje światło dzienne. Powoli zbliża się wieczór, gdy Hipolit ogłasza trąbką koniec pierwszego dnia łowów. Pełni wrażeń i z wilczymi apetytami zajeżdżamy do leśniczówki, gdzie gościnni państwo C. przyjmują nas jak najlepiej. Nie chcąc robić zacnej gospodyni domu kłopotu, a chcąc też pokazać co umiemy, zabieramy się sami, pod „fachowym“ kierownictwem Jurka C., do przygotowania kolacji.

Groźnie wygląda zastęp „kucharzy“ z podgiętymi rękawami i myśliwskimi nożami w ręku, kręcący się po kuchni. Z wesołym śpiewem, iście po sztubacku, metodą „fordowską“ — jeden kroi, drugi kładzie, trzeci smaży, inny parzy, przygotowujemy myśliwską kolację. Zaostrzają się apetyty, a pierwszy zapach pieczeni zwabia do kuchni pozostałych, prawie wszystkich kolegów nemrodów. Nawet dotychczas z dala od garnków trzymający się Włodek J. i Wojtek D. zaglądają teraz do patelni, na których nęcą, drażniąc zmysły powonienia, smarzące się na dziczym tłuszczu dzicze wątroby i polędwice. Energiczni kucharze umieją jednak utrzymać na przyzwoity dystans tego rodzaju intruzów garnkowych, tak że ci kornie z progu kuchni przyglądają się tylko pracy „mistrzów sztuki kulinarnej“.

Pani domu z trudem też, w gwarze, niczym we fabryce, daje nam wskazówki kulinarne. Janek B. dostał już „kazanie“ za wsypanie nadmiernej ilości soli czy pieprzu do potrawy, Włodek za wylanie pół wiadra wody na kuchnię, Władek za wsypanie herbaty do wrzącej jeszcze wody. Biedna żona leśniczego — współczujemy jej.

Nareszcie kolacja gotowa. Stół szczelnie obleżony. W kilkanaście razy krótszym czasie w stosunku do czasu przygotowania jej, znikają „na czysto“ z wszystkich misek pieczone dzicze wątroby i polędwice. Teraz dopiero wszystkim rozwiązują się języki. Opowiadania z przeżytego dnia, pieśni i humor wypełniają cały długi wieczór, spędzony w miłym nastroju, przy wspólnym stole myśliwskim. Późnym wieczorem rozprowadza nas leśniczy po kwaterach we wsi. Twardym snem szczęśliwych zasypiamy na wiejskich posłaniach.

Rano gospodyni, repatriantka, u której nocowaliśmy z Włodkiem D., częstuje nas obfitym śniadaniem. Dziękując serdecznie, opuszczamy gościnny dom i śpieszymy do leśniczówki. Już słychać trąbkę. To Hipolit Ł. daje sygnał na zbiórkę na podwórzu leśniczówki. Wypoczęci i weseli witamy się wszyscy starym „Darz Bór“. Przed ósmą wyruszamy autem do lasu. Mamy polować w przyległych lasach nadleśnictwa W. Na początek opolowujemy część pól przeznaczonych pod zalesienie, wraz z małymi kompleksami lasków polnych. Zajęcy dużo, „sypią“ się prawie z pod nóg. Toteż w krótkim czasie wisi ich kilkadziesiąt w aucie. W godzinach przedpołudniowych, gdy słońce wygląda wreszcie spoza chmur, przenosimy się do lasu, gdzie mamy kilka spotkań z dzikami, w których Jurek C. kładzie trzeciego dzika przelatka. Poza tym do rozkładu przybyło kilka zajęcy. Każdy z nas ma piękne przeżycia. Pod wieczór strzały padają coraz rzadziej. Ostatni miot i kończymy nasz drugi dzień łowów, a z nim i całe polowanie.

W leśniczówce załatwiamy formalności odstrzałowe z nadleśniczym inż. S., ładujemy ubitą zwierzynę do auta, gremialnie czyścimy broń i pakujemy plecaki. Po czym następuje wspólna kolacja i wkrótce żegnamy się, dziękując nadleśniczemu inż. S. za życzliwe ustosunkowanie się do nas, leśniczym C. K. i D. za koleżeńskość, a żonie leśniczego C. za iście staropolską gościnność. Przepraszamy ją też za kłopoty, jakie jej sprawiliśmy. Pobłażliwie uśmiecha się do nas miła gospodyni, wiedząc, że w młodych piersiach tętni zdrowe, pełne temperamentu życie.

Warczący motor „Fiata“ każe zajmować miejsca na ławach. Opuszczamy lasy, w których spędziliśmy dwa piękne dni. Mimo zmęczenia, wracamy, gwarząc wesoło. Ciągną się więc opowiadania o naszych przeżyciach poważnych i wesołych. Tych ostatnich było też nie mało. Chociażby takie, jak przygoda Włodka D. na stanowisku, gdy dzik wysadził mu na linię w najnieodpowiedniejszej dla niego chwili, w jakiej tylko może znaleźć się myśliwy; jak Ździcho O. chciał załadować w pośpiechu własny palec do broni, przeładowując śrut na kulę, gdy psy nagle wypędziły mu dzika pod nogi; jak przygoda Hipolita z lisem; jak rozweselająca wszystkich gra na „ustnych fanfarach“ inż. G. i Włodka D. i wiele innych wesołych przygód. Dwudniowe polowanie pozostawiło w nas dużo niezatartych wrażeń, a przede wszystkim złączyło nas serdecznymi więzami koleżeńskiej przyjaźni, jako wyznawców z pod znaku św. Huberta.

Władysław Faliński

HENRYK ZAPOLSKI

Jak uniknąć wypadków z bronią myśliwską

Znajomość obchodzenia się z bronią jest podstawowym warunkiem, od którego powinno uzależniać się udzielanie zezwolenia na posiadanie broni palnej. W tym też między innymi celu — dla sprawdzenia czy zamierzający polować umie obchodzić się z bronią — wprowadzono egzaminy dla kandydatów na członków Polskiego Związku Łowieckiego. Jeżeli od kierowcy pojazdu mechanicznego wymagamy umiejętności obchodzenia się z samochodem lub motocyklem, tym bardziej odpowiednią umiejętność winien posiadać myśliwy, gdyż bardziej niebezpiecznym przedmiotem dla otoczenia jest broń niż samochód lub motocykl.

Podstawową zasadą obchodzenia się z bronią, zasadą o której należy zawsze pamiętać i której należy zawsze przestrzegać, jest: „NIE WOLNO SKIEROWYWAĆ BRONI WYLOTEM LUFY W CZŁOWIEKA, NAWET GDY BROŃ NIE JEST NABITA". Nieszczęśliwe wypadki postrzelenia zdarzają się przeważnie z bronią w mniemaniu sprawcy nienabitą. Wina nieostrożnego postrzelenia polega nie na mylnym mniemaniu, że broń jest nienabita, tylko na skierowaniu broni wylotem lufy w człowieka. Niespodziewany wystrzał może niekiedy zdarzyć się czy to w skutek naszej nieotrożności ,czy skutkiem wadliwego stanu mechanizmu broni; jeżeli jednak broń nie będzie skierowana w człowieka, nieostrożne postrzelenie jest wykluczone.

Umiejętne obchodzenie się z bronią wymaga przede wszystkim znajomości samej broni, a więc jej konstrukcji i właściwości balistycznych, których jednak tu omawiać szerzej nie będę z braku miejsca. Nadmienię tylko pokrótce, że broń kulowa do odległości kilku kilomegłości kilkunastu kroków, a broń kulowa od odległości kilku kilometrów. Na otwartej więc przestrzeni możemy strzelać tylko śrutem; gdy strzelamy kulą powinniśmy dbać o to, ażeby kula nie mogła lecieć po za cel, do którego strzelamy. Należy pamiętać, że na bliską odległość śrut przebija nawet kilkucalową deskę, a kula może przebić ścianę, zbudowaną z grubych kloców drzewa.

Nowoczesna broń myśliwska z ukrytymi kurkami posiada automatyczne zabezpieczenie spustów, chroniące je przed nieostrożnym naciśnięciem. Ażeby wykorzystać całkowicie to zabezpieczenie, wskazane jest odbezpieczać broń dopiero bezpośrednio przed oddaniem strzału. Mianowicie dopiero wówczas, gdy podnosimy broń do ramienia. Nawyknąć do tego można bardzo łatwo, a jest to korzystne i dlatego, że zmusza nas do panowania nad sobą i do niestrzelania z pośpiechem, zwłaszcza na zbyt bliską odległość, co jest przyczyną tak częstego pudła. Jeżeli posiadamy broń z otwartymi kurkami, należy je naciągać tylko wówczas, gdy to jest konieczne i niezwłocznie opuszczać gdy ustaje potrzeba. Przy przechodzeniu przeszkód należy zawsze zabezpieczyć spusty i opuszczać kurki.

Następnym sposobem ostrożnego obchodzenia się z bronią jest przestrzeganie zasady nabijania broni dopiero po zajęciu stanowiska myśliwskiego i rozładowania jej przed opuszczeniem stanowiska. Gdy polujemy pędzeniami, tym stanowiskiem będzie miejsce wyznaczone myśliwemu przez prowadzącego polowanie. Gdy polujemy w kotły, nabijamy broń nie wcześniej jak po wyjściu z matni, rozładowujemy zaś, gdy naganiacze, ruszywszy do środka, zejdą się ze sobą, a my opuszczamy stanowiska, z których strzelało się tylko na zewnątrz kotła.

Ostrożne wreszcie obchodzenie się z bronią polega na właściwym noszeniu jej na polowaniu. Na polowaniu nosimy broń z lufą skierowaną w górę lub w dół, nigdy zaś poziomo przed siebie. Trzymamy broń bądź jedną ręką opierając o ramię, bądź oburącz przed sobą. Najbardziej odpowiednie, dające możność szybkiego złożenia się, jest trzymanie broni obiema rękami przed sobą, z lufą do góry, gdyż przy tej pozycji broni w razie naszego potknięcia się, a nawet upadku, dotykamy ziemi, błota lub śniegu kolbą broni, nie zaś końcem lufy, co może spowodować jej zatkanie, a w wyniku oddania strzału rozerwanie.

Należy jeszcze zapamiętać, że gdy szykujemy się do strzelania nie wolno trzymać palca na spuście, tylko należy opierać o krawędź kabląka, ochraniającego spusty. Trzymanie palca bezpośrednio na spuście może łatwo spowodować strzał nieostrożny, a zawsze powoduje strzał przedwczesny, zanim jeszcze zdążymy dobrze wycelować.

Mimo że skłonni jesteśmy wszyscy uważać siebie za umiejących obchodzić się z bronią, nieostrożne postrzelenia zdarzają się, niestety, zbyt często i świadczą o lekceważeniu zasad ostrożności. Jakże często słyszymy obok siebie gwizd przelatującego śrutu lub mamy przestrzelone ubranie. Zdarza się to najczęściej na polowaniu w kotły, zwłaszcza gdy strzelamy do zająca lub kuropatwy, uciekających z kotła i nie zwracamy należytej uwagi na kąt, pod jakim strzelamy w stosunku do linii myśliwych i naganiaczy. Często nie zdajemy sobie sprawy z możliwości rykoszetu. Wielu z nas mniema, że pocisk rykoszetuje po linii prostej naszego strzału, tymczasem w istocie pocisk rykoszetuje w zależności od położenia płaszczyzny, od której odbija się. Znany jest wypadek, gdy myśliwy lekko zranił śrutem sąsiada swego w policzek od strony przeciwnej tej, z której padł strzał. Wypadek zdarzył się w lesie w zimie, drzewa były pokryte skorupą lodu, a śrut rykoszetował kilkakrotnie od drzewa do drzewa, zawracając w kierunku strzelającego. Po każdym sezonie myśliwskim słyszy się o kilku wypadkach bardziej lub mniej groźnego postrzelenia.

Nie zapominajmy, że za postrzelenie ponosimy nie tylko odpowiedzialność moralną i karno-sądową lecz, jak to przewiduje Kodeks Zobowiązań, i odpowiedzialność materialną w postaci jednorazowego odszkodowania lub też, w wypadkach cięższych, stałego płacenia alimentów, skutkiem których możemy znaleźć się sami w trudnym położeniu ekonomicznym.

Pamiętajmy, że zbyt ostrożne obchodzenie się z bronią nie istnieje. Im jest bardziej doświadczony myśliwy, tym ostrożniej obchodzi się z bronią.

H. Zapolski

JAROSŁAW RADOMSKI

Łowy w puszczy mazurskiej

Było to w drugiej połowie lutego 1947 roku w lasach Państwowego Nadleśnictwa Puszczańskiego dyrekcji olsztyńskiej. Zbiórkę myśliwych naznaczono w leśniczówce o przejmującej nazwie, Diabla Góra. „Willys" nasz miał z Węgorzewa dość trudną przeprawę, bo śnieg zwalił się duży, a drogi były w tej okolicy mało uczęszczane i nieprzetarte. Nie wypada się jednak spóźniać, więc choć miejscami maszyna wyje na drugim i pierwszym biegu, posuwamy się uparcie naprzód. Po drodze niestety, nowa niespodzianka: na cieśninie między jeziorami most zerwany, a przejechać jakoś trzeba — czas nagli.

Po krótkiej naradzie zjeżdżamy w prawo, między drzewa i po kilkudziesięciu metrach skakania po korzeniach i wertepach dostajemy się do brzegu pokaźnego jeziora, a po mocnym lodzie na drugą stronę. Następnie bez specjalnych przeszkód lądujemy szczęśliwie w leśniczówce, choć, o wstydzie, już trochę spóźnieni. Myśliwi nieco zniecierpliwieni naszym spóźnieniem wsiadali właśnie do oczekujących na dziedzińcu sań. Jakże miłe było nasze zdziwienie, gdy wśród obecnych spostrzegliśmy myśliwego tej miary co prezes S. Sama jego obecność wśród nas młodych nemrodów nadawała specjalny charakter tym łowom. Po krótkim więc a serdecznym przywitaniu nastąpiło szybko losowanie, zapakowaliśmy się i ruszyli ostro, aby jaknajprędzej dostać się do kniei. Konie choć małe, sprawnie unoszą sanki i po półgodzinnej jeździe znaleźliśmy się w samym sercu boru, którego piękno i majestat wywarł na nas ogromne wrażenie.

Lasy mazurskie czy to w lecie, czy pod śnieżną szatą, mają swój specyficzny, ogromny, tajemniczy urok. Majestatyczna i cicha dotychczas puszcza, otulona grubym, białym futrem, miała za kilka chwil rozbrzmieć odgłosem trąbek myśliwskich, pokrzykiwań naganki i hukiem wystrzałów. Naganiacze, zgromadzeni przy dużym ognisku, grzejąc się, rozprawiali z przejęciem o mających się odbyć łowach, których w takim stylu dawno tu nie było. Leśniczy z Diablej Góry okazał się naprawdę organizatorem i myśliwym w całym tego słowa znaczeniu. Naganka była przez niego dobrze przygotowana i tak pouczona, że rozstawianie i przerzucanie odbywało się sprawnie i bez krzyku, co przy tego rodzaju łowach ma ogromne znaczenie. W pierwszych trzech miotach były dziki „ murowane", jak nas zapewniał leśniczy, a więc zajmując wylosowane stanowiska, każdy z nas szedł z „dużą dozą nadziei" i, przyznajmy się, z „malutką dozą egoizmu", że to na niego właśnie te „murowane" dziki wyjdą.

Stanowisko moje w tym miocie znajdowało się na narożniku zwartego zagajnika, a sąsiad mój z prawej strony stanął o kilkadziesiąt kroków na klamrze, za nim jeszcze któryś z leśniczych. W tej chwili rozległ się melodyjny dźwięk trąbki leśniczego, na który z oddali odpowiedziały przemiłe dla myśliwego sygnały trąbek na linii obławy i naganka ruszyła, postukując i kołacząc od czasu do czasu.

Napięcie na linii myśliwych wzrastało z każdą chwilą, tylko sąsiad mój z lewej strony rozsiadł się wygodnie na lasce składanej i flegmatycznie śledził ścianę zagajnika; widać stary wyga i nie pierwszyzna mu tego rodzaju łowy. Nagle kątem oczu widzę, że składa się w miot, lecz po chwili bez strzału odkłada broń; w tym momencie tętent stada dzików słychać wyraźnie na wprost mego stanowiska, niestety, w zwartym zagaju nic nie widać. Dziki! cała wataha, dwanaście sztuk, jak się później okazało, w tym kilka grubych, defilując wzdłuż linii wypadło dokładnie na sąsiada na klamrze. Ten jednak, jak to zwykle bywa, zapewne w poszukiwaniu lepszego stanowiska, przesunął się głębiej i znalazł się w stosunku do sadzących w galopie dzików za małym wzniesieniem i już tylko ze zbyt dużej odległości jak na Brennecke, wypalił dwa razy, oczywiście, bez skutku.

Plując sobie w brodę, że taką okazję zmarnował, kolega nasz spochmurniał mocno, obiecując sobie i św. Hubertowi, że więcej już takiego „byka" nie strzeli. Fakt, że pierwszy miot, mimo wszystko, nie był głuchy — „rozgrzał" nas mocno, a nadzieja nie opuszczała, tym bardziej, że zajmowaliśmy stanowiska w jeszcze bardziej „murowanym", można powiedzieć „żel-betonowym" miocie, bo jak się okazało, była to „stołówka" dzicza, gdzie troskliwy opiekun, nasz dzielny leśniczy, od czasu do czasu ziemniaczki i padlinkę im podrzucał. A więc „czuj duch!" i w ogóle uwaga, bo już trąbki zagrały i w każdej chwili można się spodziewać czarnego zwierza. Miałem tym razem, jak się wydawało wspaniałe stanowisko skrzydłowe na lekkim wzniesieniu, w wysokim lesie, a pole obstrzału na lewo i prawo wyśmienite.

W prawo w dole zajął stanowisko nadleśniczy. Naganka już dość dawno ruszyła, a dzików ani śladu. Czyżby nie skorzystały ze smacznego śniadanka, które im przygotowano dziś specjalnie suto? Jednakże nie, wprost przeciwnie, tak sobie dobrze i ponad normę, widocznie, podjadły, że nie chciało im się w ogóle ruszać, dopiero pies miejscowego gajowego, dość dobrze na dziki ułożony, ruszył z barłogu pokaźnego odyńca. Miałem wspaniały widok ze swego pagórka, jak odyniec wśród niskich i rzadkich dębczaków sunął truchcikiem wprost na nadleśniczego, opędzając się od czasu do czasu atakującemu psu. W pewnej chwili skręcił ostro i minął sąsiada, buchnął strzał, odyniec, dziwna rzecz, nie zmieniając tempa, skierował się wprost na następnego strzelca, który tym razem, nauczony smutnym doświadczeniem z poprzedniego pędzenia, nie zmieniał stanowiska i położył dzika pięknym, komorowym strzałem. Była to starsza już sztuka, z dobrymi szablami, widocznie kiedyś strzelana po zadzie, sądząc z widocznego zaniku lewego pośladku.

Tak się zagapiłem na rozgrywającą się w prawo scenę, że niewiele brakowało, a przepuściłbym bez strzału trzy mniejsze sztuki, które wytoczyły się tuż przed naganką o dwadzieścia kroków od mnie. Błyskawicznie odwróciłem się, pakując pierwszemu dzikowi kulę H-Mantel. Dzik zrulował w ogniu, jednakże podniósł się, a zataczając się — pociągnął dalej; widząc że daleko nie ujdzie, w tej sekundzie palnąłem do wycinka, który się nawinął pod lufę. I ten zwalił się również, przeraźliwie kwicząc, jednak momentalnie zerwał się i pociągnął w kierunku nadleśniczego, przewracając się po drodze kilka razy. Posłałem mu dla pewności jeszcze jedną kulę i dzik znów się przewrócił o kilkanaście kroków od nadleśniczego.

Sąsiad mój, sądząc z pewnością, że to już koniec, nie chciał strzelać, mimo że dawałem mu znaki. Gajowy, idący z naganką, nadbiegł z kordelasem, jednak w tym momencie stało się coś nieoczekiwanego: dzik zerwał się na równe nogi i w pełnym galopie popędził w las, znikając niebawem w pobliskich zagajnikach. Znaleźliśmy go dopiero dnia następnego, prawie o trzy kilometry od tego miejsca, z podziurawionym haniebnie zadem. Mniej kłopotu było z pierwszą sztuką, która zatrzymała się w małej kępce świerków i tu ją dostrzeliłem. Była to, niestety, locha nieduża, ale dobrze sadlista.

Wzięliśmy potem jeszcze kilka miotów, ale bez skutku, choć dziki były; sprytny zwierz wymykał się, uderzając do tyłu, albo w bok. Prawdę mówiąc było nas trochę mało, a następne mioty dość szerokie, poza tym broń przeważnie śrutowa, przez co niejednemu dzikowi udało się prześlizgnąć przez słabiutką linię myśliwych. W każdym razie łowy te wywarły na mnie, jako na młodego jeszcze myśliwego, niezatarte wrażenie i nie jedną z nich wyciągnąłem naukę.

W przemiłym nastroju wracaliśmy do leśniczówki. Słońce chyląc się ku zachodowi, muskało już tylko konary wysokich, smukłych sosen, a dołem czaiły się głębokie cienie. Mróz brał tęgi...

Jarosław Radomski

W sprawie wyżła polskiego

W związku z ponownym poruszeniem sprawy wyżła polskiego przez mgra L. Smyczyńskiego w numerze 11 na rok 1949 Łowca Polskiego, pozwalam sobie, jako bezpośrednio zainteresowany hodowca wyżła szorstkowłosego, w tej, tak ważnej dla wszystkich myśliwych i hodowców sprawie, zabrać głos.

Aczkolwiek uważam mgra L. Smyczyńskiego za jednego z czołowych znawców kynologii w Polsce, to jednak w tym wypadku podzielam całkowicie zdanie K. Tarnowskiego autora artykułu: „Kontynentalny wyżeł szorstkowłosy czy wyżeł polski" w nrze 8 na rok 1949 Łowca Polskiego.

Poco trwonić czas na tworzenie nowej rasy, kiedy istnieje rasa w zupełności odpowiadająca wymogom wszechstronnego wyżła. Doprowadzenie krwi airedale-terriera, moim zdaniem, narazi nas na osłabienie tak cennych zalet jak chody i stójka. Również nie wyobrażam sobie, żeby taka domieszka mogła korzystnie wpłynąć na ogólny exterieur nowego typu wyżła. Ambitny hodowca pragnie widzieć w walce nie tylko psa użytkowo bezwzględnie wszechstronnego, lecz i pięknego. W żadnym wypadku nie uważam koloru czarnego, jak to proponuje mgr S. w n-rze 1/2 na rok 1949 Łowca Polskiego — za wskazany. Kolor czarny jest kolorem żałobnym, smutnym, a wyżeł powinien posiadać raczej kolor ożywiający jego sylwetkę, brązowy czy łaciaty.

Zdanie autora, że równocześnie od psa nie można wymagać lotnej pracy polowej i precyzyjnej pracy na tropie, jest całkowicie mylne. Psa o takich zaletach wyprowadził śp. ojciec mój niejednego na różnych konkursach, takie psy egzaminował dr Jan Łukowicz na przedwojennych konkursach nie w jednym wypadku. („Niksa — Lanken" — patrz Ks. L. Niedbał — Hodowla i tresura wyżła dowodnego, strona 190 — 195, i 212 — „Zeus v. det Sonnenburg" — patrz Łowiec Polski rok 1934 nr 29. „Rap z Tuchołki" patrz Łowiec Polski rok 1937 nr 30). Były to wyżły szorstkowłose w polu i w pracy na tropie bezkonkurencyjne. Takie psy istniały i takie psy, śmiem twierdzić, istnieją dziś jeszcze u nas w kraju. Co np. można zarzucać, pominąwszy exterieur, Korze ob. Stawickiego z Inowrocławia, która w roku 1949 na ogólno - polskich konkursach w Różniatach zdobyła I miejsce i I nagrodę. Wywiązała się pierwszorzędnie w polu (takich chodów nie potrzebowałby się wstydzić żaden pointer), a praca za farbą, która nastąpiła w trudnych warunkach w 2 1/2 godziny po założeniu tropu, była bez zarzutu.

Co do wzorca szorstkowłosego, to właściwie, poza proponowanym przez mgra S. kolorem czarnym, nie widzę wielkiej rozbieżności pomiędzy wzorcem niemieckiego wyżła szorstkowłosego a wzorcem opisanym w nrze 1/2 na rok 1949 Łowca Polskiego. Wzorzec ten odpowiada, pominąwszy kolor czarny, bez wątpienia ideałom niejednego hodowcy.

Od dawna już proponuję i uczyniłem to ponownie w Różniatach wobec członków Komitetu Wykonawczego Związku Kynologicznego w Polsce, sprowadzenie reproduktorów najwyższej klasy z zagranicy celem poprawienia słabego pod względem exterieuru materiału hodowlanego, jaki posiadamy w kraju. Starajmy się sprowadzić nie dobre, ale bardzo dobre reproduktory z zagranicy i rezygnujmy z własnego wzorca wyżła polskiego. Byłby to nieodzownie eksperyment długofalowy, kosztowny i co najmniej wątpliwy.

Nie można w tym miejscu pominąć milczeniem drugiej sprawy, która w związku z poruszonym zagadnieniem wysuwa się automatycznie na pierwszy plan, niezależnie już od tego czy w końcu szanowni kynolodzy stworzą nowy typ wyżła polskiego, czy też poprawią niedobitki już istniejącego typu, znajdujące się u nas w kraju, przez sprowadzenie czołowych reproduktorów z zagranicy. Mamy niewątpliwie w kraju wyżły, nadające się do wszechstronnego ułożenia, wyżły lotne w polu i precyzyjne w pracy na tropie, ale brak nam na każdym kroku menerów zdolnych do wszechstronnego układania wyżła. Toteż bezcelowe będą nasze zabiegi hodowlane, jeżeli minie bez echa artykuł kol. W. Przybyły, umieszczony na łamach Pomorskiego Biuletynu Łowieckiego nr 9 na rok 1949, w którym autor tę właśnie bolączkę z całym naciskiem podkreśla. Jeżeli sprawą szkolenia nowych zastępów rutynowanych menerów nie zajmie się poważnie Komisja Główna Kynologiczna PZŁ, to dojdziemy wkrótce do takiego stanu rzeczy, jak to kol. Przybyła słusznie przewiduje, że nie psy, nie reproduktorów, ale menerów trzeba nam będzie sprowadzać z zagranicy.

Egon Raszke

Dropie w poznańskim

Pod tym tytułem umieścił inż. Czesław Hincz notatkę w 11 numerze Łowca Polskiego, dotyczącą dropia w województwie poznańskim. Uważam, że jest ona przede wszystkim odpowiedzią tym wszystkim, zresztą dobrej woli przyrodnikom, którzy uważają, że myśliwi są niszczycielami rodzimej fauny. Notatka inż. Hincza jest dowodem tego, że prawdziwy myśliwy opiekuje się zwierzyną swego rewiru, nawet taką, której ze względu na całkowitą ochronę nie wolno mu odstrzelić. Wystarczy mu obserwacja i opiekowanie się tymi gatunkami, które, ze względu na swą rzadkość, są chronionymi ustawą żywymi pomnikami przyrody.

Przy końcu swej notatki Autor zwraca się do myśliwych i przyrodników z prośbą o radę jak opiekować się dropiami w czasie ciężkiej zimy i jak je podkarmiać, zaznaczając, że dropie prawdopodobnie cierpią od mrozów. Nie myli się w tym względzie. Dropie Europy środkowej i zachodniej zwykle nie odlatują na zimę, zwłaszcza, jeśli jesień jest długa i lekka. O ile zima chwyci wcześnie i ostro, to dropie ratują się wędrówką. Na pytanie jak dropie dokarmiać, trudno jest dać odpowiedź. Jedno jest pewne, że najulubieńszym pokarmem dropia jest rzepak (Brassica napus), którego w Poznańskim sieje się bardzo dużo i dropie korzystają z niego, dopóki nie ma dużych zasp śnieżnych. Czy nie było by pomocne zgartywanie śniegów na większych przestrzeniach przy pomocy pługów śnieżnych, aby tę karmę w ten sposób udostępniać?

Na zakończenie dodam, że jest rzeczą nieodzowną, aby Autor tej niezmiernie sympatycznej przyrodnikom i myśliwym notatki, zechciał zaznajomić się z książką dra J. Sokołowskiego pt. „Drop w Polsce", wydanej przez Państwową Radę Ochrony Przyrody (nr 51 Kraków 1939), gdyż znajdzie w niej bardzo wiele wiadomości praktycznych, które będą Mu w najwyższym stopniu przydatne.

Dr J. Marchlewski
Kraków

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Na temat ochrony kaczorów

Rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dn. 22.3.49r. (Dz. U. R. P., Nr. 21) zamknięte zostało w sezonie bieżącym w woj. krakowskim, kieleckim, łódzkim, rzeszowskim, śląskim, warszawskim i wrocławskim wiosenne polowanie na kaczory aż do chwili otwarcia polowania na młode kaczki t.j. do dnia 16 lipca.

Tak się dobrze złożyło, że Walne Zgromadzenie Kieleckiej Rady Łowieckiej uchwałą z dn. 27.III.49r. zakazało wiosennego obstrzału kaczorów w tym województwie już w 1949 roku, zatym uwagi moje, zawarte w niniejszym artykule, poparte są rocznym doświadczeniem w tej dziedzinie, a nie stanowią wyłącznie teoretycznych rozważań, które mogą być trafne albo błędne. To, co podaję, stwierdziłem dokładnie w terenie, na powierzchni wielu gospodarstw rybnych, rozrzuconych po obszarze całego województwa kieleckiego w ciągu roku, poprzedzającego ostatnie rozporządzenie Ministra Leśnictwa, dzięki czemu będę operował pewnym zasobem stwierdzonych faktów, mogących służyć za podstawę do dyskusji.

Od szeregu lat obserwuje się u nas w Polsce stałe zmniejszanie się ilości dzikich kaczek. Każdy sezon letni przynosi coraz smutniejsze wieści z terenu całego kraju. Powodów ubywania tej miłej zwierzyny jest dużo, jednak najpoważniejszą przyczynę stanowi osuszanie błot i mokradeł oraz wykaszanie szuwarów na stawach rybnych, przez co niszczy się wiele gniazd, albo wprost uniemożliwia się kaczkom znalezienie odpowiedniego miejsca na lęg oraz ukrycie młodych. Na ten temat pisało się już sporo w prasie łowieckiej i jeszcze pewnie będzie pisać, bo sprawa jest paląca i wymaga pomyślnego rozwiązania, zarówno z punktu widzenia rybackiego, jak i łowieckiego. Nie będę więc nią obszerniej zajmował się w tym miejscu.

Drugim, nie mniej poważnym powodem zaniku kaczek, jest masowe wybieranie jaj w okresie wiosennym. Kto nie przebywa stale w terenie, ten nie ma wyobrażenia, jakie ilości gniazd bywają splondrowane przez jednego tylko „fachowo przeszkolonego" pastuszka, zaglądającego systematycznie do każdego krzaka i pod każdą kępę trawy. W dn. 10.V. 49 r. zatrzymałem np. chłopaka, który niósł kosz kaczych jaj, zawierający 76 sztuk. Przyjmując, że w gnieździe bywa przeciętnie 7 jaj — pastuszek w ciągu jednego tylko dnia zniszczył 11 zniesień. A przecież chłopak ten niewątpliwie nie jeden raz wybrał się na stawy i nie zawsze „pracował" samotnie!

Zakaz polowania na kaczory w wyszczególnionych na początku województwach niewątpliwie ma na celu nie tyle ochronę samych kaczorów, ile zapewnienie spokoju na stawach i mokradłach w okresie lęgowym. Zasada w założeniu swym jest zupełnie słuszna, jednak w praktyce budzi duże zastrzeżenia.

Jak mamy możność przekonać się, w ostatnich latach — kaczki, prześladowane przez chłopców na stawach, coraz częściej gnieżdżą się dzisiaj zdala od wody, w zaroślach, na łąkach, nawet w lesie. W tych wypadkach polowania na kaczory zdala od gniazd, zwłaszcza w ciągu maja, gdy kaczki siedzą już na jajach, nie płoszą wcale wysiadujących matek. Zresztą, dla zapewnienia spokoju nielicznym kaczkom, lęgnącym się w pobliżu wód, można zamknąć polowania wiosenne z dniem 10 maja, bo w tym okresie już niewątpliwie wszystkie kaczki rozpoczynają wylęganie jaj, a panujący spokój może się im bardzo przydać.

Jeżeli chodzi o odstrzał kaczorów w kwietniu, to obowiązujący obecnie zakaz nie jest niczym uzasadniony, bowiem duża ilość kaczek, biesiadujących wówczas na naszych wodach, należy do stad przelotnych, które i przy sprzyjających warunkach lęgowych u nas nie pozostaną, lecz ciągną stopniowo na północ, na swe obszary ojczyste. Ochrona kaczorów w tym czasie żadnego pożytku łowiectwu polskiemu nie przyniesie.

Skolei pragnę omówić bardzo ważne zagadnienie, związane ściśle z wiosennym polowaniem na kaczory, mianowicie zagadnienie ochrony łowiska. W tej dziedzinie mamy poważne doświadczenie z woj. kieleckiego.

Jak poprzednio zaznaczyłem — przyjazd raz w tygodniu, lub nawet jeszcze rzadziej paru myśliwych na stawy i oddanie 5—10 strzałów przeważnie z grobli — nie wnosi dużego zamętu w życie pierzastych mieszkańców, którzy po odejściu strzelców na inny teren, zaraz powracają do swej siedziby. Naturalnie, nie może być mowy o braniu udziału w takich łowach większej ilości nemrodów, jak również o stosowaniu pędzeń kaczorów przy pomocy naganki. Takie wyczyny winny być surowo zakazane, bo mogą przyczynić się do całkowitego wypłoszenia kaczek z terenu danego gospodarstwa rybnego.

Jeżeli chodzi o polowanie na wabia lub z krykuchą, to te rodzaje polowań w żadnym wypadku nie płoszą zbytnio kaczek, gdyż dobrze ukryty myśliwy nie jest widoczny, a do huku wystrzałów ptaki przyzwyczajają się bardzo szybko i choćby się nawet poderwały po pierwszym strzale najbliższe sztuki, to wkrótce zapadną na staw ponownie i na dalsze huki już nie reagują zupełnie.

Trzeba jeszcze i to mieć na uwadze, że kwietniowa temperatura wody uniemożliwia częstokroć brodzenie po szuwarach, co dla kaczek jest najbardziej niepokojące, a z drugiej strony na ogromnej większości naszych wód nie ma wcale łodzi. Siłą rzeczy więc myśliwy zmuszony jest do przechadzki wyłącznie po groblach i w tym wypadku obecność jego nad stawem nie wypłoszy kaczek ukrytych w trzcinach zdala od brzegu. Oczywiście każdy myśliwy musi dążyć do tego, by jego wizyta nie wnosiła w życie pierzastych mieszkańców dużego zamieszania i popłochu. Bezsensowne łażenie po miejscach odkrytych, głośne rozmowy i nawoływania nie mogą wogóle mieć miejsca w czasie wiosennych wycieczek łowieckich na kaczory. Nie należy też polować na jednym terenie częściej, niż raz w tygodniu.

Obecność małej grupki myśliwych na wodach parę razy w sezonie nie przyczyni hodowli łowieckiej wiele zła, odda natomiast ogromną usługę, gdy chodzi o zapobieżenie wybieraniu jaj. W dni powszednie dzieciaki wiejskie zajęte są przy gospodarstwie oraz chodzą do szkoły, co wypełnia im cały czas. Natomiast w niedzielę i święta nie mają one zajęcia i wtedy właśnie ruszają gromadnie na „jajobranie". Obecność myśliwych na stawach uniemożliwia pastuszkom wstęp na te tereny i gniazda kacze mają znowu cały tydzień spokoju.

W okolicach Radomia istnieje kilka gospodarstw rybnych, na których myśliwi organizowali zwykle parę wiosennych wycieczek. Ilość kaczo-

rów, ubita w czasie takiej wyprawy wynosiła przeciętnie 8—15 sztuk i stan kaczek na polowaniach lipcowych przedstawiał się zadawalniająco. Padało na jednym polowaniu w 10 strzelb 60—70 kaczek. W roku 1949 obowiązywał zakaz polowania na kaczory i nikt w ciągu wiosny na stawy nie pojechał. Okazało się w lipcu, że zamiast spodziewanego przyrostu kaczek, stan ich przedstawiał się katastrofalnie. Zabijano po 15—20 sztuk, a na niektórych stawach dosłownie nic nie było. Za to wg. zebranych informacyj chłopcy w ciągu wiosny wynosili koszami jaja kacze.

Ktoś z czytelników mógł by zrobić słuszny zarzut, że straż łowiecka była w tym wypadku „nie na poziomie", skoro dopuściła do plondrowania gniazd kaczych. Może i racja, lecz przysłowiowe „pańskie oko" też odgrywa dużą rolę, a gdy tego oka zabrakło, to i straż zawiodła. Zresztą obecność kilku uzbrojonych myśliwych może zawsze więcej zdziałać, niż jeden rybak, przechadzający się po groblach z laską w ręku.

Trzeba jeszcze i to mieć na uwadze, że zainteresowanie myśliwych obwodem łowieckim łączy się ściśle ze sprawą polowania. Nie jest to rzeczą właściwą i nie wystawia współczesnym nemrodom pochlebnego świadectwa, ale tak już jest, niestety, że z chwilą wydania zakazu odstrzału kaczorów — nikt, albo prawie nikt na stawy wiosną nie wyjeżdża, a chłopcy wiejscy mają wtedy szerokie pole do popisu. W woj. kieleckim mieliśmy właśnie tego dowody i przewidywana poprawa stanu kaczek przyniosła wręcz odwrotny skutek, kończąc się kompletnym fiaskiem.

Jestem przekonany, że podobny rezultat osiągniemy po tej wiośnie we wszystkich województwach, gdzie polowanie na kaczory zostało zakazane. A przecież ustawodawcy chodziło o coś wręcz odmiennego, o zwiększenie ilości kaczek na naszych wodach. Jesteśmy w przededniu wiosennego sezonu, czy nie warto więc zastanowić się poważnie nad tą sprawą i wcześniej wydanym w r. b. rozporządzeniem Ministra Leśnictwa przywrócić prawo wiosennego odstrzału kaczorów? Można ten odstrzał ograniczyć do okresu od 1 marca do 1 wzgl. 15 maja, osobiście proponowałbym ustalić termin odstrzału kaczorów w czasie 15.III. — 10.V., ale nie należy zamykać polowania całkowicie, bo to, jak widzimy z przykładu kieleckiego, daje nieoczekiwane i smutne rezultaty.

Tych parę uwag, opartych jak zaznaczyłem powyżej na rocznym doświadczeniu, pozwalam sobie poddać pod rozwagę władzom Polskiego Związku Łowieckiego i ogółowi zainteresowanych tą sprawą myśliwych.

Leopold Pac-Pomarnacki

Należy podciągnąć klasę myśliwych

Obserwacje moje, dotyczące zachowywania się myśliwych na polowaniach, między innymi zaproszonych gości, napełniają mnie (jak i wielu innych) dużym niepokojem, a nawet przerażeniem. Ten chaos panujący w polu czy w lesie podczas zbiorowych polowań jest bezwarunkowo zastraszający. Przyczyną tego jest, jak to zdołałem niezbicie stwierdzić — zachłanność i absolutny brak subordynacji i koleżeńskości wśród myśliwych.

Gdybyśmy chcieli spersonifikować etykę myśliwską, to w dzisiejszym stanie rzeczy musielibyśmy ją sobie wyobrazić, jako postać skrzywdzoną i zarazem ubolewającą nad krzywdzicielami. Wyliczmy konkretne grzechy i błędy całych zespołów kółkowych, a potem przejdziemy do jaskrawych postępków indywidualnych przeciwko etyce myśliwskiej.

1. Wiele kółek nie stosuje się do zarządzeń PZŁ, nawet na próbę nie przeprowadzając polowań na zające pędzeniami w polu. A przecież jest ono konieczne w celu przekonania kolegów, że jest to sposób dobry i korzystny, a o wiele etyczniejszy, bo dający mniej postrzałków.

2. Nie jest przestrzegana zasada stosowania minimum dwóch naganiaczy na każdego myśliwego przy polowaniach w kotłach.

3. Nie zwraca się uwagi na deszczową porę i rozmiękłe pola, chociaż polowanie w tych warunkach szkodzi rozdeptywanym oziminom i naraża na słuszne pretesje rolników.

4. Wbrew ustawie łowieckiej poluje się po zachodzie słońca, byleby zabić jak najwięcej. Nie bierze się absolutnie pod uwagę, że polowanie o zmroku nastręcza strzały niepewne, które muszą dać w rezultacie większą ilość postrzałków—wyłącznie pożywienia dla lisów.

Poza powyższymi zbiorowymi przestępstwami łowieckimi indywidualne zachowanie się myśliwych na polowaniach zbiorowych jest, można powiedzieć, wprost hańbiące.

Tego rodzaju obyczaje, jak uzurpowanie sobie prawa do strzelanego choćby na bardzo daleki dystans zająca i uprzedzające z góry okrzyki „mój, mój", dobijanie wlokącego się ostatkiem sił kota, by powołać się na „ostatni śrut", strzelanie zajęcy sprzed nosa kolegi, zabieganie w kotłach, tworzenie gruszek itp. — są to metody na porządku dziennym.

W takich warunkach, panujących nagminnie, sprawowanie urzędu łowczego jest niezwykle utrudnione, zwłaszcza, gdy łowczy nie radby z nikim zadzierać. Jest to oczywiście chowanie głowy w piasek, jednakże zdarzają się bardzo często sytuacje tak zaciekłych kłótni, że mniej energiczny łowczy mimo woli dezorientuje się i może popełniać błędy.

Zasadniczo jednak na stanowisko łowczego winni być wybierani myśliwi odznaczający się wyrobieniem, energią, stanowczością w sądach, a przede wszystkim ludzie obiektywni, sprawiedliwi, bezstronni, nie powodujący się żadnymi względami, a jednocześnie wybitnie koleżeńscy.

Tegoroczna koniunktura handlowa, dająca możność myśliwym uzyskania od Spółdzielni „Jedność Łowiecka" zł 600 za każdego dostarczonego zająca, rozpętała do ostatecznych granic zachłanność „strzelaczy", którzy, nie bacząc na żadne bariery i granice, nie mówiąc o nakazach etyki myśliwskiej i rycerskości — ignorowali kompletnie nie tylko obowiązujące prawa etyki, lecz najprostszą koleżeńskość i grzeczność. Zdobycie zająca, czyli 600 zł, było wszystkim, bez reszty. O miłym spędzeniu czasu w gronie kolegów, o odpoczynku po całotygodniowej pracy, o współżyciu z przyrodą — mało kto myślał, a jeśli byli tacy, to wracali z polowania umęczeni psychicznie, zawstydzeni postępowaniem innych, wracali z odrazą.

Zauważyłem także, że niejednokrotnie młodzi, początkujący myśliwi zachowywali się znacznie spokojniej i etyczniej od swych starszych kolegów, którzy przecież powinni być właściwymi wychowawcami młodych. I jeszcze jedno zło idące z takiego nieposzanowania etyki myśliwskiej i prawdziwego koleżeństwa — to fatalny przykład dla młodzieży, biorącej udział w nagance. Ci ostatni, zamiast nauczyć się czegoś dobrego, są poprostu najzwyczajniej gorszeni. A starsi uczestnicy naganki, doskonale zdający sobie sprawę z niewłaściwego zachowania się niektórych myśliwych, wprost otwarcie nie szczędzą odpowiednio wypowiadanych głośno określeń takiego postępowania.

Szalony wstyd i wielką krzywdę przynosi to wszystko odradzającemu się na nowych zasadach łowiectwu w Polsce Ludowej.

Zważywszy ten przykry stan rzeczy i nie widząc możliwości zaradzeniu złu na terenie wewnętrznym kółek, proponuję użycie bardziej radykalnego środka przez wprowadzenie we wszystkich kółkach **współzawodnictwa** — nie co do ilości odstrzelonej zwierzyny, lecz — w zachowaniu się myśliwego w polu, przestrzeganiu przez niego nakazów

(dokończenie obok)

Chrońmy dropie w Polsce

Łowiectwo polskie przechodzi zmiany ideologiczne i strukturalne równolegle do zmian ustrojowych w Polsce. Jedną z najważniejszych podstaw tych zmian, jest zasada planowej gospodarki, która w łowiectwie wyraża się m. in. w planowym równoważeniu zakresu użytków gospodarczo-łowieckich i sportowo-łowieckich z wydajnością zasobów przyrodniczych, użytkowanych w ramach łowiectwa. W związku z tym niezmiernie ważną sprawą jest planowa ochrona przyrody dla utrzymania planowanego poziomu jej wydajności oraz odbudowa zniszczeń, wywołanych w przyrodzie przez bezplanową eksploatację flory i fauny.

Stąd podstawowe znaczenie ma w łowiectwie hodowla, jako nieodzowna podstawa do użytkowania łowieckiego.

W ramach szeroko rozumianej odbudowy i ochrony przyrody racjonalna i przewidująca hodowla powinna objąć swym zakresem nietylko zwierzynę łowną, występującą u nas masowo (np. zające, dziki i kuropatwy), ale i faunę, mającą obecnie znaczenie już tylko naukowo-przyrodnicze, gdyż w ramach planowej gospodarki istnieje możliwość stworzenia warunków sprzyjających jej utrzymaniu nietylko dla całokształtu systematyki i badań naukowych, ale i dla szerszej rozmnoży naturalnej. Dlatego w istniejących przyrodniczych rezerwatach polskich są chronione m. in. żubr, łoś i bóbr, zaś ilość rezerwatów jest, dla dobra sprawy, planowo powiększana. W Związku Radzieckim hodowane są żubry dla ich rozmnoży i wzbogacenia fauny Związku. Ochroną i badaniami objęto także wiele innych zwierząt, wśród których reaklimatyzowane są nawet sobole na rodzimych siedliskach tajgi syberyjskiej. Również i ptaki znalazły się w zasięgu badań i pod ochroną wobec ich roli w regulowaniu ilości roślinożernych owadów — „szkodników" w znaczeniu łowiecko-użytkowym.

Wśród reliktów avifauny w Polsce poczesne miejsce zajmuje drop (Otis tarda). Opisany wyczerpująco w pracach przyrodników-badaczy, wspomniany został również w r. 1949 na łamach „Łowca Polskiego" w kilku wzmiankach, które dowodzą zarówno jego obecności u nas, jak i zainteresowania wśród myśliwych tym rzadkim ptakiem.

W związku z występowaniem dropia na naszych ziemiach interesującą jest, przede wszystkim, dynamika jego liczebności i powiązanie jej zmian z lokalizacją i właściwościami siedlisk.

Wspomniane wzmianki w „Łowcu", a zwłaszcza artykuł inż. Cz. Hincza świadczyłyby, że dropie nietylko stanowią gatunek u nas w poznańskim osiadły, ale nawet mnożący się w drodze naturalnej. W związku z tym ważnym przyczynkiem byłyby dane o jego ilości i zmianach ilostanu na możliwie wszystkich terenach Polski, na których drop występuje. Porównanie zmian liczebności, oraz danych dotyczących gniazdowania, dałyby obraz charakteryzujący sytuację tego ptaka na naszych ziemiach.

Drop jest ptakiem stepowym. Według poważnych badaczy wymaga on dużych przestrzeni i spokoju na terenach przez siebie zasiedlonych. Spostrzeżenia radzieckich przyrodników wykazują, że naprzykład pasy leśne polochronne, zakładane na południowo-wschodnich stepowych obszarach europejskiej części Związku Radzieckiego, wpływają odstraszająco na dropie i strepety, które emigrują z zasięgu powstających lasów. Zauważono natomiast ukazywanie się dropia w rejonie Kurska, na wielkich obszarach rolnych, komasowanych w związku z kolektywizacją gospodarki. Dowodziłoby to zarówno związania dropi z wielkimi, w zasadzie bezleśnymi przestrzeniami, jak i możliwości adaptowania przez nie podobnego krajobrazu, powstającego w wyniku gospodarczych działań człowieka.

Wydaje się, że wzmiankowane siedliska dropi pod Kurskiem (ZSRR) i w Polsce w województwie poznańskim, wykazują podobieństwo przez kształtowanie w zasadzie jednorodnych upraw na wielkich przestrzeniach rolnych, przypominających z rozległości i spokoju step. Gdy weźmiemy pod uwagę badania przyrodnicze polskie, stwierdzające, że krajobraz województwa poznańskiego na znacznych połaciach stepowieje, co daje się zauważyć oprócz przestrzenności również w zakresie klimatu i flory, możnaby przyjąć, że tak właśnie kształtujące się warunki przyrodnicze stwarzają w tym regionie Polski właściwe siedlisko dla dropia. Tymbardziej interesujące byłyby obszerniejsze dane o zmienności ilostanu dropi i ich gniazdowania, wynikające z obserwacji terenowej, prowadzonej przez myśliwych lub kółka łowieckie. Takie spostrzeżenia i informacje mogłyby posłużyć naukowcom-przyrodnikom do wyprowadzenia właściwych, naukowych i praktycznych wniosków. Równocześnie jednak, już teraz niezbędne byłoby wyjaśnienie ze strony ornitologów w jaki sposób roztoczyć opiekę nad dropiami, czy i jak zabezpieczać je przed silnymi mrozami oraz czym i w jaki sposób je dokarmiać.

Przyrodniczo-hodowlana opieka myśliwych i kółek w terenach osiedlenia dropia w Polsce mogłaby mu dopomóc w utrzymaniu się i rozwoju, zaś łowiectwo polskie zyskałoby, jeśli nie masowe użytkowe polowanie, to w każdym razie przyrodnicze i sportowo-łowieckie przeżycia.

inż. W. Plapis

(dokończenie)

etyki myśliwskiej, koleżeńskości i świeceniu przykładem cech prawego myśliwego.

Myślę, że niejednego myśliwego skieruje to na właściwą drogę i w ten sposób zostaną uzdrowione stosunki w kółkach.

Zarządy Kółek winny wybrać Komisję współzawodnictwa, która notować będzie te sprawy i kwalifikować kolegów, zyskujących dobrą opinię. Komisje te z kolei winny przesyłać sprawozdania z działalności łowczemu powiatowemu, który przedstawi takich myśliwych radzie wojewódzkiej do odpowiedniego odznaczenia.

M. Melion,
Łowczy Powiatu
Zachodnio - Warszawskiego

Zwalczanie szkodnictwa łowieckiego

obowiązkiem każdego członka PZŁ

Henryk Zapolski

Jak organizować ochronę terenu łowieckiego

WSZYSCY wiemy jak ogromne znaczenie posiada ochrona polowań przed kłusownikami i innymi szkodnikami. Bez należytej ochrony niemożliwa jest hodowla zwierzyny, a wiemy, że hodowla zwierzyny jest zasadniczym obowiązkiem myśliwego. W naszych warunkach gospodarczych, przeciętnie biorąc, zwierzyna samodzielnie rozmnażać się nie może. Brakuje ku temu naturalnych warunków. Hodujemy zwierzynę drogą dokarmiania, odświeżania krwi i oszczędzania odstrzału. Zabiegi te nie dadzą jednak pożądanych wyników, jeżeli równocześnie nie otoczymy ochroną terenu łowieckiego. Od ochrony należy rozpoczynać gospodarkę łowiecką.

Obowiązująca ustawa łowiecka uprawnia właściciela polowania do ustanawiania straży łowieckiej. Projektowana nowa ustawa łowiecka nie tylko upoważnia, lecz zobowiązuje do utrzymania straży łowieckiej, a jeżeli polowanie nie jest wydzierżowione, zobowiązuje nawet właściciela ziemi.

Istnieją różne sposoby ochrony terenu łowieckiego. Niekiedy sami myśliwi mogą bezpośrednio ochraniać. Przeciętnie jednak jest to niemożliwe, albo bardzo trudne w wykonaniu, gdyż myśliwi zamieszkują przeważnie zdala od swych łowisk. Utrzymywanie stałych strażników łowieckich, jako płatnych etatowych funkcjonarjuszy, jest zbyt kosztowne, ażeby fundusze kółek łowieckich mogły sobie na to pozwolić bez nadmiernego obciążenia wysokimi składkami kieszeni swych członków — ludzi pracy, utrzymujących się z miesięcznych poborów.



Stary naganiacz. Rys. S. Rozwadowski

Zamierzam omówić jeden ze sposobów ochrony, dostępny szerokiemu ogółowi myśliwych.

Najbardziej rozpowszechnioną i dostępną ogółowi myśliwych zwierzyną jest zając. Nie ma stowarzyszenia łowieckiego, które nie dzierżawiłoby terenów z tą zwierzyną. Łowiska ze zwierzyną grubą — lasy, będące obecnie własnością skarbu Państwa, posiadają ochronę z urzędu, w postaci administracji leśnej. Podobną ochronę posiadają nieliczne państwowe majątki rolne. Natomiast ogromna większość ziemi, to gospodarstwa chłopskie, nie posiadające żadnej ochrony, aczkolwiek wymagają jej najbardziej.

Jak zorganizować ochronę tych terenów?

W stowarzyszeniach myśliwskich polujemy przeważnie zbiorowo i przeważnie na zające. Obszar dziennego polowania wynosi około 1000 ha czyli około 10 kilometrów kwadratowych, a więc kilka kilometrów wzdłuż i wszerz. Jest to przestrzeń, na którą musi być zaangażowana co najmniej jedna osoba do ochrony polowania i zwierzyny.

Angażujemy taką osobę w sposób następujący: polując w terenie umawiamy spośród miejscowych rolników kogoś, kto mógłby i chciał zaopiekować się ochroną polowania na wspomnianej, jak wyżej, przestrzeni. Wskazane jest, ażeby rolnik ten był obecny na polowaniu (czy to w nagance) dla zaznajomienia się z terenem łowieckim.

Umówionej osobie wydajemy (zawczasu przygotowane) odpowiednie zaświadczenie — upoważnienie. Jednocześnie wydajemy kilkanaście zaadresowanych do siebie pocztówek dla okresowego i doraźnego nadsyłania sprawozdań i doniesień.

Jako wynagrodzenie należy zastosować system opłat od ubitego zająca, kuropatwy itp. Dobrze jest zastosować dla zachęcenia opłatę progresywną. Na przykład, przy upolowaniu 50 zajęcy opłata może wynosić 50 złotych od zająca, przy 70 zającach 60 złotych, przy 100 zającach — 70 złotych. Oczywiście, im progresja opłat i same opłaty byłyby większe, tym bardziej byłyby zachęcające.

Podobny system wynagrodzenia jest dlatego dobry, że nie obciąża bezpośrednio budżetu stowarzyszenia łowieckiego, a równocześnie nie jest zbyt uciążliwy i dla myśliwego, który znajduje doraźny ekwiwalent w ubitej sztuce zwierzyny.

Jest rzeczą zrozumiałą, że najbardziej pożądanymi tego rodzaju strażnikami byliby sołtysi, ormowcy lub inne osoby, należące do lokalnych organizacji społecznych.

Proponowany wyżej sposób angażowania straży jest dogodny swą prostotą i tym, że nie wymaga wyjazdów w teren. Po każdym polowaniu część łowiska może być obsadzona strażnikami.

H. Zapolski

W sprawie artykułu
„Na marginesie minionego sezonu na zające"

W „Pomorskim Biuletynie Łowieckim" nr 9 z listopada 949 r. ukazał się pod powyższym tytułem artykuł, podpisany przez E. Raszkego, w którym wyraził on ubolewanie na stanowisko, zajęte przez Towarzystwo Ochrony Zwierząt w Polsce, protestujące przeciwko próbom publicznego dławienia kotów na konkursach psów, będącym w jego pojęciu jedynym sprawdzianem ciętości i uznaniem pełnowartościowości psa myśliwskiego.

Wywody autora powyższego artykułu są nieprzekonywujące i bez wątpienia nie wezmą ich serio pod uwagę owi „znawcy odwiecznych praw Przyrody" i łowiectwa oraz wyznawcy świadomego, zupełnie zbędnego, publicznego dręczenia kotów.

Owa znajomość „odwiecznych praw Przyrody" u autora, wydaje nam się powierzchowna i mało wnikliwa, gdyż przez zaliczenie lisa do zdeklarowanych szkodników drapieżników, wykazuje dobitnie, że właśnie obce mu jest prawo równowagi biologicznej, jakie zachodzi w otaczającej nas przyrodzie.

W jego przekonaniu, w celu tępienia szkodnika drapieżcy, należy specjalne układać i zaprawiać psy do dławienia go przy ewentualnym postrzeleniu.

Z innych drapieżników, żyjących u nas, wymienia autor tylko kota domowego, który jak twierdzi, już z natury rzeczy obciążony jest krwawym grzechem atawizmu, więc go żałować nie należy.

Kota napotkanego w polu, można uważać za szkodnika i myśliwy ma prawo zastrzelić go, w żadnym jednak wypadku nie szczuć psami żywego lub nie zmuszać do dławienia w razie postrzelenia, gdyż pazury kocie, jak to się często zdarza, mogą spowodować głębokie, trudno gojące się, przy tym bardzo bolesne rany nozdrzy, a nawet spowodować utratę oka.

Właściciel cennego i ulubionego psa stara się raczej celowo unikać rozwijania w nim i potęgowania instynktu krwiożerczości w stosunku do kota, gdyż skoro zaprawi się on w tym kierunku, nie przepuści żadnej okazji na polu czy drodze, podwórku czy domu i będzie go dusił. Zaprawiania psa w dławieniu od dawna już zaniechano w kołach łowieckich i hodowlanych, posiadających odpowiedni poziom moralny oraz poczucie humanitaryzmu; obecnie zaprawienie to należy uznać jako przeżytek i przesąd prowincjonalny i zerwawszy z nim nareszcie, nie należy powracać do niego więcej.

Dla zwierzostanu oraz dla sprawy łowieckiej lepiej będzie, ażeby znawcy tej dziedziny zajęli się gorliwiej techniką organizacji polowań, a nie przywracaniem barbarzyńskiego zwyczaju dławienia kota przez psy, które się w ten sposób jedynie deprawują.

Przytoczony w artykule przykład z polowania w kotle na zające, przy użyciu czterech psów, wpuszczonych do środka dla zdławienia postrzelonego lisa, charakteryzuje aż nadto dobitnie zespół myśliwych, biorących w nim udział niewyszkolonych i nieprzygotowanych do zbiorowych polowań w polu.

Dobicie rannego lisa powinien wziąć na siebie pierwszy z brzegu myśliwy, który doszedł do rannego zwierzęcia na odległość strzału i nie powierzać tej roli czterem psom, których obecność w kotle z wielu względów, uznać należy za niedopuszczalne i żałować trzeba — jak wypowiada autor — że sceny tej nie filmowano, gdyż byłby uwieczniony obraz, któremu można by dać napis: „Jak nie należy polować w kotły".

Nawiasem dodajemy, że gdyby owe cztery psy, zaprawione w dławieniu, jak tego sobie życzy ob. E. Raszke—nię zrejterowały przed kłami broniącego się lisa, lecz po ciężkich zmaganiach rozszarpały go, to prawdopodobnie z jego skóry niewiele było by pożytku.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę autora, że lis, jak twierdzą zoologowie, odgrywa poważną rolę w przyrodzie, gdyż w latach pojawienia się większej ilości myszy, żywiąc się nimi wyłącznie, zapobiega w znacznej mierze klęsce, grożącej rolnictwu miejscowemu. Ofiarą lisa w razie braku większej ilości gryzoniów, padają, zwłaszcza w pierwszym okresie śnieżnej i mroźnej zimy, zające, pochodzące z majowego lęgu, a więc nie wyrośnięte i mniej odporne na niską temperaturę i pokrywę śnieżną, utrudniającą żerowanie (które zazwyczaj w dużym % nie przetrzymują cięższego okresu zimowego). Zapewniamy Sz. Autora, że daleko większą szkodę w zwierzostanie robią kłusownicy, w porównaniu do lisa, kota, czy też gołębiarza.

Jeżeli zatem naprawdę drogą jest myśliwym sprawa utrzymania zwierzostanu w naszym kraju, to niech zwrócą baczną uwagę i wysiłki w kierunku nieubłaganej walki z szalejącym kłusownictwem, wprowadzą w swe kółka karność, podniosą poziom etyczny członków, wyeliminują strzelców, kaleczących zwierzynę i niech nie stosują masakry zwierzyny. Skoro bowiem nie zmienimy tych stosunków na lepsze i każdy, nie mający pojęcia o strzelaniu, będzie brał udział w polowaniach, to nie pomoże tępienie isów, kotów czy jastrzębi, gdyż zwierzynę leśną i polną trzeba będzie wówczas, w krótkim czasie, ochraniać, jako zwierzęta ginące.

Jeżeli chodzi o stosunek Towarzystwa Ochrony Zwierząt w Polsce do łowiectwa, to pozwalamy sobie odesłać autora do wydanej przez nas w 1949 r. książki pt. „Ochrona zwierząt w Polsce", w której sprawa ta jest wyczerpująco omówiona i wyjaśniona.

Towarzystwo Ochrony Zwierząt w Polsce
Zarząd Główny

WYSTAWA OBRAZÓW WŁODZIMIERZA KORSAKA

W okresie od 24 XI do 11 grudnia 1949 r. sale siedziby Polskiego Związku Łowieckiego gościły piękny zbiór obrazów swego członka honorowego, Włodzimierza Korsaka. 42 wystawione obrazy stanowią drobną część twórczości utalentowanego malarza. Większość obrazów jego, rozsiana ongiś wśród szerokich kół myśliwych, uległa skutkiem wojny prawie całkowitemu zniszczeniu .

Autor szczodrą a pracowitą i artystyczną ręką utrwalał na kartonach wszystkie sceny swego bujnego łowieckiego życia, spędzonego zarówno wśród melancholijnych obszarów Witebszczyzny i Polesia, jak i nad brzegami egzotycznego Indusu oraz w stepach Azji Środkowej. A że miał nie tylko duszę wrażliwą na piękno, ale i dar spostrzegawczości, właściwy artystom z Bożej łaski, i rękę zdolną do przelania tych odczuć na papier w postaci zarówno prac literackich, jak szkiców malarskich, przeto skala tematyczna utworów kol. Korsaka jest bardzo duża.

Z ocalałych z pogromu wojennego resztek twórczości Korsaka widzimy na wystawie prace przeważnie krajobrazowe, ale przepojone takim wyczuciem atmosfery łowieckiej, że każdy myśliwy uznaje je za „myśliwskie", choć często brak w nich nawet sylwety zwierzyny. W obrazach swych stosuje Korsak swoistą technikę — kolorowe piórko — wymagającą nadzwyczaj subtelnej i pracowitej faktury, aby przez stosowanie kolorowej kreski dać wrażenie barwnej plamy malarskiej. A jednak tymi skromnymi środkami potrafił autor wyrazić nastrój i barwę mroźnej zimy w zaśnieżonym lesie i czar budzącej się przyrody nad jeziorem i spiekotą dnia letniego w polu i subtelny smętek usypiającej natury w brzozowym gaju.

Osobną grupę stanowią obrazy znad morza naszego, gdzie zapędziła Korsaka wojna, jak np. „Zachód słońca nad zatoką Helską", „Rybacy", „Łodzie", „Ciągnące nad morzem łabędzie" itp.

Dla charakterystyki twórczości W. Korsaka zamieszczamy kilka zdjęć z obrazów, będących na wystawie. **J. Gieysztor**

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
L. dz. 71/III/R. N./50

OKÓLNIK

Warszawa, 12 stycznia 1950 r.

dot.: bezpieczeństwa na polowaniu.

DO
WOJEWÓDZKIEJ RADY ŁOWIECKIEJ
w . . . .

W związku z szeregiem wypadków na polowaniach, jakie zdarzyły się w ostatnim czasie, oraz z tym, że poważna część tych wypadków, często śmiertelnych, spowodowana została strzałami kulowymi, wobec zbliżających się intensywnych polowań w kniei, które trwać będą od 16 stycznia do 28 lutego 1950 r., zmuszony jestem w imieniu Rady Naczelnej przypomnieć następujące zasady, dotyczące bezpieczeństwa na polowaniu:

Łowczy prowadzący polowanie winien kategorycznie unikać w czasie organizacji polowań w kniei i przy strzelaniu kulami:

a) ustawienia linii myśliwych na krętej lub łamamanej linii,
b) flankowania w starodrzewiu, drągowinach i kulturach (dozwolona jest tylko tzw. daleka flanka, położona 250—300 m. od linii czołowej);

Obowiązkiem Łowczego jest też przypomnieć myśliwym przed wyruszeniem do kniei, na specjalnej odprawie, a następnie przestrzegać w czasie polowania, podanych poniżej zasad, od których zależy bezpieczeństwo na polowaniu kniejowym:

1) strzelać wolno jest tylko do dobrze rozpoznanego celu,
2) zabronione jest kategorycznie prowadzenie lufami za idącym przez linię myśliwych zwierzem,
3) nie wolno jest strzelać wzdłuż linii myśliwych. Za strzał wzdłuż linii uważa się każdy strzał, który przeszedł bliżej niż 10 kroków od stanowiska sąsiada,
4) prowadzący naganke obowiązany jest podać sygnał na trąbce (dwa długie sygnały) w takiej chwili, kiedy strzelanie do środka miotu może już być niebezpieczne dla naganki,
5) nie wolno jest strzelać przed siebie w miot po dwóch długich sygnałach na trąbce,
6) nie strzelać przed siebie, gdy naganka znajduje się w odległości mniejszej od linii myśliwych niż 200 — 250 metrów,
7) zachować specjalną ostrożność w czasie grudy i gołoledzi,
8) strzelanie w pędzeniach z naciągniętym przyśpiesznikiem jest niedozwolone,
9) strzelanie na wąskich liniach, leżących w gęstych zagajnikach, dozwolone jest tylko w lewo (strzelający z lewego ramienia winni być ustawiani na prawym skrzydłowym stanowisku),
10) nie wolno schodzić z wyznaczonego stanowiska zarówno w miot, jak i nie wolno wybiegać na dukt leśny poza stanowiska (dozwolone jest tylko przesunięcie się o kilka kroków, ściśle po linii myśliwskiej w prawo, bądź w lewo),
11) ładować broń wolno jest tylko po zajęciu stanowiska, a rozładowywać broń należy każdorazowo przed zejściem ze stanowiska,
12) nie wolno jest strzelać do zwierzyny w czasie przejeżdżania bądź przechodzenia z miotu do miotu,
13) zajmować stanowiska należy pod knieją tj. pod ścianą lasu, z którego pędzi naganka,
14) nosić broń należy skierowaną ku górze (kąt w stosunku do ziemi większy niż 135^0) lub do dołu (kąt w stosunku do ziemi mniejszy niż 45^0),
15) polując z dwiema broniami należy je opierać na stanowisku o grubsze drzewo (nigdy o stołeczek, bądź cienkie gałązki),
16) stanowisko każdego myśliwego winno być w sposób widoczny i wyraźny oznaczone.

Myśliwi, biorący udział w polowaniu w kniei, winni się bezwzględnie stosować do podanych wyżej przepisów.

Zaznaczam, że w razie wypadku na polowaniu, który wyniklby z niedotrzymania warunków w pkt. „a" i „b", współwinę za wypadek ponosić będzie również Łowczy.

Proszę o podanie powyższego przypomnienia w temożliwie odwrotnie i przesłanie do Komitetu Wykonawczego odpisu wydanych w tej materii okólników.

PREZES POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO
(—) Prof. Dr. Bolesław Szarecki
Generał Dywizji

KOMUNIKAT

w sprawie wysokości udziałów Spółdzielni „Jedność Łowiecka"

Uchwałą Walnego Zgromadzenia delegatów członków Spółdzielni „Jedność Łowiecka", odbytego w dniu 29 maja 1949 r., została podwyższona wysokość udziałów członkowskich ze zł 500.— na zł 2.500.— (dwa tysiące pięćset) przy pozostawieniu tej samej wysokości wpisowego zł 200.—.

Mocą tej uchwały dawni członkowie-udziałowcy Spółdzielni zobowiązani zostali do dokonania dopłat na udziały do wyżej wskazanej wysokości zł 2.500.—, nowi zaś oprócz wpłaty tej sumy na każdy deklarowany udział winni uiścić kwotę zł 200.— tytułem wpisowego.

Zarząd Spółdzielni, licząc się z ewentualną trudnością wpłacenia na udział całej sumy jednorazowo przez niektórych Kolegów, wydał instrukcję do terenowych placówek Spółdzielni, upoważniającą do przyjmowania dopłat do dawnych udziałów, jak również wpłat na nowe udziały sposobem ratalnym, a mianowicie w ratach półrocznych po zł 500.—.

Deklarujących udziały nowych członków obowiązuje wpłata wpisowego jednocześnie z pierwszą ratą na udział.

Udziałowcom, którzy zostali członkami Spółdzielni do 31 grudnia 1948 r., nadwyżki z lat ubiegłych zostały dopisane do udziałów.

Z literatury łowieckiej

„Pies" nr 4/5 — organ Związku Kynologicznego w Polsce, grudzień 1949 r. Warszawa, Nowy Świat 35 — stron 32, cena 150 zł.

Zeszyt ostatni poświęcony jest niemal całkowicie psu myśliwskiemu. Zdobi go piękna okładka, pomysłu i wykonania S. Rozwadowskiego, w postaci Diany z psem. Motyw psa wykorzystany jest również w pomysłowych ogłoszeniach, reklamach, nawet w karykaturach, a już wszelkie rasy psie spotykamy w dwukolumnowym fotomontażu z ostatniej, a zarazem pierwszej po wojnie wystawy psów w Warszawie. Wnioski z wystawy, przytoczone w artykule wstępnym, są pełne nadziei na przyszłość, ale zabarwione goryczą w stosunku do teraźniejszości, głównie z powodu obojętności do „sprawy psiej" ze strony czynników dyspozycyjnych.

Szereg artykułów fachowych precyzuje stanowisko kół myśliwskich do zagadnienia wyboru psa - pomocnika i przyjaciela myśliwego. Inż. E. Frankiewicz w pracy pt. „Co i jak hodować?" wypowiada się za ograniczeniem hodowli do pointera i settera angielskiego oraz kontynentalnego wyżła szorstkowłosego, jako psów legawych, a jamnika oraz foxterriera ostrowłosego — jako dzikarzy, tropowców i posokowców. Natomiast dr. M. Krygicz jest zdania, że ani wyżeł, ani jamnik czy spaniel nie mogą wywiązać się należycie z zadania tropienia zwierzyny, do którego pełnienia są powołane specjalne posokowce, głównie hanowerskie i bawarskie.

Inni pisarze wypowiadają się jednak stanowczo za wyżłem kontynentalnym, jako psem wszechstronnym i najbardziej odpowiednim dla naszych warunków terenowych. A. Rowiński głosuje za wyżłem szorstkowłosym, z którego można by, przy odpowiednich zabiegach, wytworzyć polską odmianę. Dr J. Łukowicz określa: „Czego należy wymagać od wyżła kontynentalnego?", zaś K. Tarnowski podaje wzorce wyżła kontynentalnego, krótkowłosego i szorstkowłosego.

Sprawą wychowania i tresury psa myśliwskiego zajmują się trzy artykuły: J. Pietraszkiewicza pt. „Wybór, wychowanie i tresura psa myśliwskiego", inż. Z. Danka pt. „Pies - towarzysz w służbie leśnika" oraz J. Dylewskiego pt. „Psy, rasy, hodowla, szkolenie" — będący oceną krytyczną pracy mgra L. Smyczyńskiego pod tym samym tytułem.

Zeszyt uzupełniają sprawozdania z ogólnokrajowych konkursów wyżłów w Rożniatach, z wystawy psów we Wrocławiu oraz z wyników prób polowych w ZSRR i z wystawy psów w Moskwie. Inowacją jest felieton Wiecha: „Nie martw się Azor". **J. Gieysztor**

„PERNATA ZVER UŽITKOVA" Frantisek Turcek. Wydawnictwo „Pallas" Nitra — Słowacja, 1948 r.

Pod powyższym tytułem pojawiła się w języku słowackim obficie ilustrowana książka, licząca 250 stron w dwóch zeszytach. Mimo niewielkiej objętości zawiera ona cenny materiał biologiczny (opisy życia ptaków) dla ornitologa, a zarazem wskazówki praktyczne dla myśliwego, jako opiekuna zwierzyny. Spostrzeżenia biologiczne autora cechuje wielki umiar w stwierdzaniu, podobnie jak duża rezerwa w przyjmowaniu obserwacji innych autorow, co przy dokładności opisów tworzy całość zajmującą. Przyjęty przez autora podział ptactwa łownego na ptactwo polne, leśne i wodne, uzupełnia zastrzeżeniem, że jednak większość gatunków właściwa jest terenom mięszanym, np. bażant nie może żyć zarówno bez pola, jak i bez lasu. Ostatecznie do ptactwa polnego autor zalicza: kuropatwę, przepiórkę, bażanta i dropia, do leśnych: jarząbka, cietrzewia, głuszca, słonkę i grzywacza, do wodnych: kaczki, gęsi. Ptactwo błotne — na zachodzie wyrugowane przez racjonalną gospodarkę — autor pomija zupełnie.

Jasny styl książki ułatwia w znacznym stopniu rozumienie bratniego słowiańskiego języka, co powinno zachęcić naszych miłośników ptactwa łownego do szukania w niej danych biologicznych, mających często wartość dokumentów, wolnych od wszelkich domysłów. Aby to uwidocznić, przytaczamy tu szereg ważniejszych danych z życia opisywanych gatunków.

KUROPATWA: podane są cechy odróżnienia płci i wieku, przyrost wagi i ciała od chwili wylęgnięcia, roczny skład pokarmu wyrażony procentowo (jest na Słowaczyźnie i na Węgrzech nieco inny niż u nas), znaczenie kuropatwy dla gospodartwa rolnego, czynniki szkodliwe dla rozwoju kurcząt, nieprzyjaciele, choroby i pasożyty, chów i plowanie.

BAŻANTY: opisy i ilustracje 32 ras bażanta kolchickiego i 4 ras bażanta pstrego, rozwój wzrostu kurcząt, choroby i pasożyty oraz sposoby ochrony i hodowli, polowania na bażanty. Ciekawe jest spostrzeżenie autora dodatniej roli perliczki w hodowli bażantów, pełniącej rolę stróża, ostrzegającego krzykiem przed niebezpieczeństwem.

JARZĄBEK: przyczyny zanikania tego gatunku na zachodzie, środki zapobiegawcze i sposoby polowania. Obfity materiał biologiczny.

CIETRZEW: jego łatwość znajdowania na terenach mieszanych (lasy, łąki i pola podleśne), znaczenie bagien leśnych dla jego ochrony przed nieprzyjaciółmi, dokładne cechy rozpoznawcze dla wieku kogutów, rodzaje pożywienia, polowanie.

W pięknych opisach GŁUSZCA szczególną wartość posiada metoda rozpoznawania wieku kogutów w granicach od jednego do dwunastu lat.

SŁONKA: wędrówki i ciągi (tokowanie), opisy życia rodzinnego słonki, gniazdo i czas lęgu, sposoby polowania.

GRZYWACZ: ciekawe dane o jakości i ilości pożywienia tych wybitnie roślinożernych ptaków (wynoszący około 3% pokarm zwierzęcy można by uważać za przypadkowy).

W ptactwie łownym wodnym, wśród KACZEK Słowaczyzny, naczelne miejsca zajmują: krzyżówka, cyranka i cyraneczka, wśród GĘSI: posiewnica, gęgawa, białoczelna i mała — wszystkie przelotne, posiewnica niekiedy zimuje. Autor podaje bardzo ciekawe sposoby polowania na to rzadkie ptactwo. Poza tym dział ptactwa wodnego uzupełnia kluczem i wizerunkami do rozpoznania rzadziej spotykanych gatunków.

Hubertowski obchód w Radomiu

Tradycyjnym zwyczajem Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka w Radomiu zorganizowała szereg imprez, które odbyły się na terenie Radomia z udziałem przedstawicieli z różnych stron województwa.

Staraniem wiceprezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, kol. Kazimierza Kwietniewskiego, zorganizowano wieczór myśliwski, na który złożyło się:

1) dekorowanie zasłużonych na polu łowieckim medalami złotymi: Leopolda Pac Pomarnackiego i inż. Tadeusza Pasławskiego, medalami srebrnymi: Tadeusza Brodziaka i Zygmunta Matza,

1) odczyt kol. Leopolda Pac Pomarnackiego na temat „Łowiectwo dawniej i dziś",

3) wyświetlanie filmów przyrodniczo-myśliwskich,

4) wspólna biesiada myśliwska.

W dniach następnych odbyły się strzelania do rzutków treningowe i o nagrody

Głównym punktem programu tego strzelania były zawody ekip o przechodnią nagrodę Kieleckiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Radomiu w postaci pięknego żubra z brązu.

Zdobywcą tej nagrody był zespół kółka myśliwskiego „Szarak" w Radomiu. Drugie miejsce zajęła ekipa z Częstochowy, którą nagrodzono dziełem Krawczyńskiego pt. „Łowiectwo".

Indywidualnie zwyciężyli: 1) kol. Bronisław Plewiński — I nagroda, torba myśliwska, 2) kol. Czesław Basikiewicz — II nagroda, laska — stołek myśliwski, 3) kol. Zygmunt Siedlecki — III nagroda, plecak sportowy.

Poza tym wręczono 10 dyplomów najlepszym zespołom i strzelcom.

Po strzelaniu zespołów odbyły się strzelania polowe o nagrody w postaci amunicji myśliwskiej.

Najlepsze miejsca zdobyli kolejno koledzy: Tadeusz Pasławski, Czesław Błasikiewicz, Władysław Swiszcz, Jan Jarosz i Antoni Paprzycki.

W zawodach brało udział 5 zespołów i 22 strzelców indywidualnie. Świadczy to o dużym zainteresowaniu się kolegów myśliwych strzelaniem rzutkowym.



Nagroda przechodnia Wojew. Rady Łowieck. w Radomiu na zawodach Hubertowskich w strzelaniu myśliwskim do rzutków w Radomiu dn. 5. XI. 1949 r.

Jak zwykle arbitrami byli znani nam od wielu lat sędziowie kol. kol. Tadeusz Dzierżyński i Zygmunt Święcicki.

Całotygodniowe uroczystości zakończyła zabawa myśliwska, z której dochód przeznaczony został na fundusz odbudowy stolicy.

(—) Tadeusz Obutulewicz

DUŃSKA AMUNICJA ŚWIATOWA

Jak podaje prasa duńska (Copenhagen Rewiew), przemysł amunicyjny w Danii rozpoczął od niedawna produkcję amunicji śrutowej w łuskach z przezroczystego plastyku.

Wyższość takich łusek nad łuskami z kartonu polega w pierwszym rzędzie na całkowitej odporności plastyku na wilgoć.

Przy używaniu łusek z plastyku wykluczone są niespodzianki, jakie zdarzają się niejednemu myśliwemu, gdy „spuchnięte" wskutek zamoknięcia naboje w łuskach kartonowych nie dają się włożyć do komory nabojowej.

Nawet dłuższe trzymanie w wodzie nabojów w łuskach z plastyku zupełnie im nie szkodzi. Ani łuska nie ulega deformacji, ani ładunek prochu nie wilgotnieje.

Dodatkową wyższością łusek z przezroczystego plastyku jest możność łatwego sprawdzenia czy śrut jest właściwego numeru.

Cena nabojów w łuskach z plastyku według oświadczeń Duńczyków jest tylko nieznacznie wyższa od nabojów dawnego typu.

Henryk Maciaszek

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dnia 22 marca 1949 r. (Dz. URP nr. 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	Luty	Marzec	Kwiecień
Kuny leśne (tumaki)		■	■
Wydry		■	■
Głuszcze koguty	■	■	
Cietrzewie koguty w województwach: Białystok, Kielce, Warszawa, Kraków, Rzeszów	■	■	
Cietrzewie koguty w pozostałych województwach	■	■	■
Dzikie kaczory w województwach: Białystok, Gdańsk, Lublin, Olsztyn, Toruń, Poznań, Szczecin	■		
Dzikie kaczory w pozostałych województwach	■	■	■
Dzikie gęsi		15 ■	■
Słonki			
Bataliony			
Gawrony, kruki, kawki i drapieżniki skrzydlate, za wyjątkiem krogulców i gołębiarzy	■	■	■
Jastrzębie gołębiarze, krogulce, wrony siwe, sroki			
Wilki, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice			
Lisy i króliki			

Do biur Wojewódzkich Rad Łowieckich

Doświadczenie, zdobyte w roku ubiegłym w dziedzinie dostarczania ŁOWCA POLSKIEGO do rąk czytelników — członków P. Z. Ł., wskazuje na potrzebę pewnych posunięć, które by tę dostawę usprawniły. Są one szczególnie ważne w początkowych miesiącach roku, kiedy wpływają składki członkowskie za rok bieżący i formowane są nowe listy członków.

Pragnąc ułatwić pracę Administracji ŁOWCA POLSKIEGA, zwracamy się do Kolegów i Koleżanek z Biur Rad Wojewódzkich z prośbą o uwzględnienie, przy formowaniu list zgłoszeniowych z adresami członków, postulatów następujących:

1. Układanie nazwisk w porządku alfabetycznym, co ogromnie przyśpiesza wyszukanie adresu czytelnika, przy wszelkich reklamacjach.

2. Odnotowywanie przy każdym nazwisku członka dawnego numeru, pod którym zgłoszony on był w roku ubiegłym (względnie numeru listy, w której nazwisko było podane). Przy nowowstępujących członkach — zaznaczenie tego w postaci literki „n", aby uniknąć potrzeby szukania go wśród członków dawnych.

3. Przy formowaniu list zwracać specjalną uwagę na ścisłość adresu, gdyż wszelki błąd naraża czytelnika na pozbawienie go pisma, zmusza Administrację do przewlekłej korespondencji z pocztą, z Radą, z poszkodowanym, a wydawnictwo naraża na stratę wielu egzemplarzy pisma.

4. Przepisywanie list z adresami powinno być dokonywane z interliniami, tj. z odstępami między wierszami, gdyż nadmiernie zgęszczone maszynopisy uniemożliwiają czynienie adnotacji przy zmianie adresów.

Do zarządów Kół Łowieckich

oraz Kolegów – zbieraczy trofeów

Istniejąca w Bydgoszczy od 100 lat Państwowa Szkoła dla Ociemniałych (ul. Krasińskiego 10) zwraca się, za naszym pośrednictwem, z prośbą o przyjście z pomocą licznej rzeszy niewidomych wychowanków szkoły w rozszerzeniu świata ich pojęć.

Chodzi tu o dostarczenie dzieciom WYPCHANYCH ZWIERZĄT, PTAKÓW, CZY INNYCH OKAZÓW PRZYRODNICZYCH, zapoznanie z którymi w drodze dotyku pozwoli niewidomej młodzieży na wytworzenie nowych pojęć, poznanie nowej dziedziny świata, istniejącego realnie.

Komitet Wykonawczy P.Z.Ł. i Redakcja Łowca Polskiego gorąco popierają inicjatywę Bydgoskiej Szkoły dla Ociemniałych i proszą o skierowywanie darów bezpośrednio do Szkoły (Krasińskiego 10), powiadamiając o wysyłce Pomorską Radę Wojewódzką w Toruniu.

Myśliwski konkurs fotograficzny

Za przykładem lat ubiegłych redakcja Łowca Polskiego ogłasza MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY specjalnie dla fotografów amatorów.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej, sceny z polowań, charakterystyczne krajobrazy terenów łowieckich, psy myśliwskie w pracy, ciekawe pokoty i trofea myśliwskie.

Zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym niż 9 × 12 cm.

Fotografie mogą być nadsyłane bądź seriami, bądź pojedynczo, powinny posiadać każda „legendę", tj. objaśnienie treści z podaniem miejscowości, daty zdjęcia i zaopatrzone w godło. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I wyznaczamy dla serii, zawierającej najmniej 5 zdjęć — 20.000 zł, dla fotografii pojedyńczych — 5.000 zł, jako nagrodę II — dla serii — 12.000 zł, dla zdjęć pojedyńczych — 3.000 zł; jako nagrodę III-ą — dla serii — 8.000 zł, dla pojedynczych zdjęć — 2.000 zł.

TERMIN NADSYŁANIA ZDJĘĆ UPŁYWA Z DNIEM 1 MARCA 1950 r. Nagrodzone fotografie będą umieszczone w Łowcu Polskim, pozostałe — według uznania redakcji. Wypłacenie nagrody za serie uprawnia do zamieszczenia 5 zdjęć. Za wykorzystane inne zdjęcia redakcja opłaca po 1.000 zł. W razie nieosiągnięcia należytego poziomu zdjęć, sąd konkursowy może nie przyznać nagrody I.

Sąd Konkursowy stanowi Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego.

Spis rzeczy w numerze:

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077
Komitet Redakcyjny: J. Bohusz, E. Frankiewicz, J. Gieysztor (przewodniczący), S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R. Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski - Downar. Doradca graficzny — S. Rozwadowski

Zam. Nr 3817 z dn. 18.I.50. 30.000 egz. Ukończ. w lutym 1950 r. B-100902
Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka“, W-wa, Śniadeckich 16.